Nr. 54. Lwów, Niedziela dnia 8. Września 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**.

Sprawy kultury krajowej.

III.

Poczyniwszy w poprzednim numerze *Tygodnia* ogólne uwagi, co do finansowania nowej pożyczki melioracyjnej, tu jeszcze dodamy, że gdyby nie udało się zaciągnięcie pożyczki za granicą i to w gotowiźnie, najwłaściwiej byłoby ulokować w nowych obligacyach fundusze stypendyalne, które podobno dochodzą dziś trzynastu milionów złr., a których część znaczna umieszczoną jest w banku narodowym na $4^1/_2\%$. Nowy papier krajowy pod względem bezpieczeństwa w niczem nie ustępuje bankowi narodowemu, zatem słusznem będzie, jeżeli przyjdzie z pomocą nowej pożyczce krajowej, gdzie nawet otrzyma korzystniejsze warunki lokacyi.

Projekt Wydziału krajowego stanowi, że po ukończeniu robót na gruncie, nastąpi obliczenie jej kosztów, a zdeterminowana ich cyfra stanowić będzie kapitał dłużny funduszowi pożyczkowemu, do spłaty którego w ratach amortyzacyjnych właściciel dóbr wezwanym zostanie. Otóż byłoby do życzenia, aby termin ten rozpoczynał się dopiero w rok po ukończonej melioracyi, to jest w epoce, gdzie już melioracya zacznie przynosić zwiększone dochody. Ta małoznacząca prolongata da się rozłożyć stosunkowo na cały czas amortyzacyjnego okresu bez szkody dla funduszu pożyczkowego, a przeto wielką dogodność przyniesie kontrybuentom.

Wreszcie byłoby pożądanem, aby Wydział krajowy prócz $^1/_4\%$ proponowanego jako dodatek na amortyzacye, dołożył jeszcze $^1/_4\%$ na utworzenie funduszu rezerwowego, który stanowiąc kapitał wspólny dłużników, w razie większych klęsk elementarnych lub politycznych, pozwoliłby się użyć na zaspokojenie dopuszczonych zaległości w ratach, bez uciekania się do natychmiastowej egzekucyi. Fundusz taki po skończonej spłacie pięciomilionowej pożyczki, możnaby rozdzielić między uczestników płacąc za nich ostatnie raty amortyzacyjne, lub też przeznaczyć jako kapitał zakładowy dla nowych żądań kredytu melioracyjnego.

Zapatrując się ze stanowiska prawnego na projekt ustawy o melioracyi gruntów, spotykamy bardzo ważny punkt naruszający bezpieczeństwo wierzycieli hypotecznych. Punktem tym jest uznanie pierwszeństwa dla pożyczek melioracyjnych przed wszystkiemi innemi, stawiając je w bezpośrednie miejsce po podatkach państwowych i innych należnościach publicznych. Wprawdzie, obok przeciążenia hypotek majątków galicyjskich długami, tak różnych instytucyi kredytowych jak i prywatnych osób, lokacya pożyczki melioracyjnej w inny sposób byłaby poprostu niemożebną, zatem przyjmując uprzywiliowane jej stanowisko potrzeba główną zwrócić uwagę, aby i prawa wierzycieli prywatnych były o ile można uszanowane.

Pod tym względem Wydział krajowy dość racyonalnie usprawiedliwia swój projekt, powołując się na prawodawstwa innych krajów, a głównie na tę okoliczność, że włożony pod ścisłą jego kontrolą kapitał melioracyjny w grunta, o tyle podniesie ich wartość, że sytuacya prywatnych wierzycieli zmienioną nie zostanie, lecz owszem przez pomnożenie dochodów z majątku stosunkowo wyższych od nowo przyjętych zobowiązań, dawać będzie lepszą rękojmię wypłacalności dłużnika.

Po części zgodzić się wypada z zapatrywaniem takiem Wydziału krajowego, lecz tylko w takim wypadku, jeżeli wysokość udzielić się mającej pożyczki melioracyjnej, będzie miała stale oznaczone maksimum, którego bez przyzwolenia wierzycieli przekraczać się nie powinno. Tymczasem projektowana ustawa zostawia w tym względzie nieograniczoną swobodę właścicielowi majątku ziemskiego, swobodę miarkowaną uznaniem i potwierdzeniem Wydziału krajowego. Lecz czy Wydział krajowy zechce tu przyjąć patronat wierzycieli i pamiętać o ich bezpieczeństwie — bardzo wątpimy.

Nie mając stałej normy maksymalnych nakładów na melioracye, koszta ich w pewnych ewentualnościach mogą nawet przenieść wartość całego majątku, a tem samem obciążyć go długiem publicznym, którego spłata mając zapewnione pierwszeństwo i egzekucyę administracyjną, zachwiać może bezpieczeństwo wierzycieli dawniejszych.

Przypuszczenie to robimy na tej podstawie, że sama melioracya bez dalszej kultury ziemi, i to wzmocnionej odpowiednio do nowych warunków, nie daje żadnej rękojmi powiększenia dochodów, gdy przeciwnie ciężar przysporzony kosztami melioracyjnemi będzie już udeterminowany. — Wprawdzie § 8 i 9 projektowanej ustawy daje Wydziałowi krajowemu prawo objęcia dozoru nad konserwacyą melioracyi na koszt właściciela, który to rygor jest dosyć groźnym dla zaciągającego pożyczkę, lecz rygor ten w niczem wierzycieli hipotecznych nie zaspokaja, albowiem powiększenie dochodu z majątku jak powiedzieliśmy, nie polega na samej naprzykład konserwacyi drenów lub nawodnień, ale na dalszej kulturze ziemi w ten sposób ulepszonej. A wypadki takiego zaniedbania gospodarstwa czy wskutek klęsk elementarnych, czy innych, bardzo często zdarzać się mogą — wtenczas wartość melioracyjna majątku zwłaszcza jeżeli jest wygórowana, pozostanie bez wpływu na szacunek i w razie publicznej sprzedaży wierzyciele bardzo łatwo mogą upaść ze swemi pretensyami. Wydział krajowy postępując w ten sposób za wiele przyjmuje moralnej odpowiedzialności zatrzymując w swych rękach dyskrecyonalną władzę stanowienia o pożyteczności i zakresie robót melioracyjnych, czego zdaje nam się może bardzo łatwo uniknąć, położywszy tej władzy pewien ściśle oznaczony zakres.

W ten sam sposób, zarzucić wypada Wydziałowi krajowemu chęć rozciągania opieki nad przygotowaniem planów i kosztorysów do robót melioracyjnych, z jaką oświadcza się projekt ustawy. Wydział krajowy może i powinien występować tutaj jako pośrednik między wierzycielami a pożyczającymi i jako doradca dla chcących meliorować swoje posiadłości. Zatem obowiązki jego ograniczać się mają:

1) na zaciągnięciu pożyczki i poręczeniu spłacenia takowej w terminach oznaczonych;
2) na dopilnowaniu, aby fundusze wzięte na melioracye, rzeczywiście do tego celu z możebną korzyścią użyte zostały;
3) na dawaniu rad i informacyi chcącym przystąpić do robót melioracyjnych, tudzież wskazywaniu osób do takich czynności ukwalifikowanych.

Dla tego uważamy zbytecznem, a nawet niewłaściwem, aby Wydział krajowy podejmował się w biórze swojem wypracowywania planów i kosztorysów na żądanie interesantów. — Przyjmując takie obowiązki, narazić się może jeżeli nie na prawną, to na moralną odpowiedzialność w razie wadliwie przygotowanych projektów, które po wykonaniu mogą nie przynieść spodziewanych korzyści, a tem samem uczynić zawód właścicielowi. W podobnie drażliwych sprawach, najlepiej pozostawić prywatnej inicyatywie i staraniom wykonanie ich zamiarów; zbyt troskliwa opieka najczęściej sprowadza zarzuty i pretensye, których taka władza jak Wydział krajowy powinna ile możności unikać. — Ma prawo i powinien decydować czy lokacya funduszów publicznych, za które kraj ręczy, jest racyonalna i do celów właściwych użytą, lecz nie może podejmować się zastępstwa techników, za ktorych nieomylność trudnoby poręczyć.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Na gościńcu był ruch wielki z powodu jarmarku w mieście. Fury jedna za drugą przejeżdżały co chwila, wznosząc tumany kurzu; na jednych chłopi w białych sukniach i baby w chustkach jaskrawych kolorów, wieźli na jarmark gęsi, które długie szyje i czerwone dziuby wystawiały w górę i rozpaczliwem gęganiem narzekały na swój los, na drugich czarne gromady żydów szwargotały głośno, a pijany furman gnał batem szkapy, by wyminąć drugich. Ładowne zbożem lub towarami wozy ciągnęły powoli. Za niemi szły małe wózki z jajami, garnkami. Od czasu do czasu jakaś bryczka z krakowiakiem na koźle przemknęła się szybko, albo jakiś ekonom na koniu cwałował ku miastu. Tu pędzono bydło, tam owce, ówdzie baba ciągnęła na sznurku kwiczące prosię, które wlazło do rowu. Ścieżką koło drogi szli gęsiego piechotą: baby z brzemięczkami, szewcy z butami na kijach, dziewczęta i parobcy śmiejąc się i gwarząc głośno. Znaczna część tych ludzi zatrzymywała się koło karczmy, jedni wstępowali na napitek, drudzy już napici rozprawiali przed karczmą. Kilka fur zatrzymało się tam także, a wśród nich kręciły się dziady i żydzi. Gwar, hałas był tu wielki, wszystko co żyło odzywało się. Gęsi, prosiaki, bydło, konie, dzieci, ludzie, wrzeszczeli tak, jakby się wzajem przekrzyczeć chcieli.

Naraz koło szerokiej bramy wiodącej do karczmy uciszyło się; ci co stali dalej obejrzeli się zdziwieni tą nagłą ciszą i także milknęli. Milczenie rozchodziło się coraz szerszem kołem wśród tłumu, ale nikt nie wiedział dlaczego; jeden pytał drugiego po cichu, co takiego i podnosił głowę ku bramie. Wreszcie nad głowami tłumu ukazały się mundury żandarmów; jeden z nich wyszedł na ławkę i ręką nakazywał milczenie. Kiedy się już dobrze uciszyło, zaczął donośnym głosem czytać, że sąd karny poszukuje dwóch żydów złodziei za liczne kradzieże, jakich w ostatnich czasach dokonali z niesłychaną śmiałością i zręcznością.

— Jeden z nich — czytał dalej żandarm — Izaak Grünwald, nazywający się także fałszywie Szrot Mendel, albo Mord Mojżesz, albo Moritz Leibe, a także i Jakób Kornblum, lat 48., wzrostu średniego, krępy, włosy i broda szpakowate, twarz rumiana, oczy siwe, ubiór starozakonny. Druki Rokoh Nuchem, mieniący się także Aronem Bernstein albo Józefem Czada, lat 30, wysoki, rudy, włosy kręte, nosi się po węgiersku a także i po niemiecku. Ktoby wiedział o miejscu pobytu wyżej opisanych i dał o tem znać do sądu, policyi lub posterunku żandarmów, otrzyma nagrody 100 fl. w. a.

Kiedy żandarm ukończył czytanie i zszedł z ławy, gwar przyciszony na chwilę zawrzał teraz na nowo daleko głośniejszy, niż przedtem. Rozpoczęły się żywe rozmowy po wszystkich kółkach. Najgłośniej rozprawiano pod samą karczmą, gdzie była największa ciżba. Rej wodził tam wójt tej wsi i paru mieszczan.

— Nie zła by to była rzecz — mówił jeden z nich — zarobić sto papierków. Toby się człek dopiero podreperował.

— Ba, ino że to nie łatwo złapać takich ptaszków.

— Muszą to być nie lada majstry, kiedy ich żandarmi wynaleźć nie mogą.

— Ta to prawda, gdyby to było łatwo, toby nie obiecywali aż sto papierków.

— Żeby mi ich tak pokazali — odezwał się jeden rzeźnik — to kto wie, czy bym ich gdzie nie natrafił, człowiek się panie włóczy nie mało po świecie tu i tam.

— Ba, ta juści, gdyby wam ich pokazali, to byście ich widzieli. Toby każdy takiej sztuki dokazał.

— Mądrala z ciebie. Ja nie mówię, żeby mi ich żywcem pokazali, ale choć namalowanych, na papierze, rozumiesz?

— Fortografię na ten przykład — dodał jakiś mieszczanin, rad, że się może popisać znajomością tej sztuki.

— Tak, fortografią, to co innego, to już wiem czego się trzymać. Ale tak na ślepo, to trudno trafić. Albo to jeden rudy albo szpakowaty. Ot i ten — mówił dalej pokazując palcem na jakiegoś żyda o jednem oku co stał przed nim trzymając pod pachą skórki zajęcze, królicze i worek na plecach, ma wzrost jak się patrzy, a czy ja wiem, czy on Nuchem czy nie Nuchem.

Żyd cofnął się przestraszony, obejrzał się w około, jakby go już łapać mieli, a kiedy stojący w około parsknęli z tego powodu głośnym śmiechem, on także głupkowato się uśmiechnął i przysunął się napowrót do mówiącego.

— No widzicie — ciągnął dalej rzeźnik — na upartego toby i tego można wziąć do aresztu.

— No, no, nie plećcie no głupstwa — rzekł żyd pokrywając przestrach komicznem krzywieniem twarzy.

— A potem by się pokazało, że to nie Nuchem, i na nic cała robota — dokończył rzeźnik.

— Tamten przecież był rudy.

— Oj, ciemięgo, a cóż łatwiejszego jak ufarbować sobie łeb. Ta to konia ci umalują, że nie poznasz, a nie dopiero człowieka.

— Dyć prawda — odezwał się wójt. — Nasz dziedzic siwiuteńki jak stary koń, a kiedy w niedzielę przyjdzie na sumę, to mu się łeb i wąsy świecą, kieby krucze pióra.

Zgromadzenie buchnęło znowu głośnym śmiechem.

— Zawsze ta nie zawadzi oglądać się po jarmarku za każdym żydem, kto wie czy się człowiekowi nie uda.

— A po co by on wam lazł na jarmarek. Abo on taki głupi, żeby sam ludziom pchał się w oczy.

— A to się wie. Takie majstry to właśnie tam idą, gdzie się ich najmniej spodziewają. Ty go szukasz gdzieś po dziurach, na uboczu, a on ci wlezie w ciżbę i śmieje się z ciebie. Tak już nieraz bywało, że najprędzej po odpustach, po jarmarkach łowiono takich ptaszków.

— No, to chodźwa na ten jarmark — odezwał się któryś chłop.

— A chodźwa; słonko już wysoko.

Wszystko ruszyło ku miastu, jedni na wozach, inni pieszo. Żyd ze skórkami zajęczemi także pociągnął za innymi, po drodze jednak zatrzymywał się czasami to poprawiając coś na sobie, to szukając czego lub targując u przechodzących jaja i masło. Tak manewrując został się dobrze w tyle za tymi, z którymi razem szedł od karczmy, a kiedy minął kamieniołomy, które sterczały tuż koło drogi, zamiast iść ku miastu, wsunął się w zarośla i chyłkiem przekradał się niemi do lasu. Tu odpoczął trochę nasłuchując, czy kto nie idzie za nim, a gdy się przekonał, że w około było zupełnie cicho, szybkim krokiem poszedł w górę w ciemny bór.

Środkiem boru ciągnął się wąwóz, który wyżłobił w skale potoczek wzbierający w czasie deszczów w rzekę prawie. Teraz znać go prawie nie było, gęste krzaki leszczynowe, co rosły na brzegach wąwozu, zasłaniały go całkiem; tylko gulgotanie jego po kamieniach słychać było.

Żyd doszedłszy do brzegu wąwozu odchylił gałęzie krzaków i trzymając się ich zsuwał się aż na dno; potem szedł w okrak nad strumykiem opierając się rękami o skaliste ściany wąwozu. Ściany te były czarne od wilgoci, gdzieniegdzie zarosłe bujnemi paprociami i gęstym bluszczem; w kilku miejscach rozpadały się w szczeliny, któremi ściekała woda podczas deszczów. W jedną taką szczelinę wszedł żyd i gramoląc się po drobnych kamieniach zatrzymał się przy spruchniałej kłodzie, za którą czernił się otwór jakiejś jamy zasłonięty krzakiem i różnem zielskiem. Tu znowu wytężył słuch łowiąc najmniejszy szmer. Nic nie było słychać prócz jednostajnego gulgotania potoczka i zmieszanego gwaru ptactwa, pomiędzy któremi dominowały skrzeczące głosy srok. Wtedy żyd odchylił ostrożnie gałęzie zasłaniające otwór i zniknął w przepaści. Po jakimś czasie odezwał się w tem miejscu jak gdyby głos wilgi. Niezadługo drugi taki głos

odpowiedział mu gdzieś w głębi góry i żyd kierując się według tego głosu szedł podziemnemi korytarzami coraz dalej. Gdzieniegdzie światło dzienne wpadające przez szczeliny i otwory oświecało mu drogę i pozwalało oryentować się w tych ciemnych norach, które kręcąc się i rozchodząc w różne strony przypominały mysie kryjówki. Góra cała była niemi podminowana. Kurytarze te prawdopodobnie woda wyrobiła w skale wypłukując i zabierając ze sobą części, które się w niej łatwo rozpuszczały. W niektórych miejscach rozszerzyły się tak, że stanowiły rodzaj jaskini. Musiały one dawniej już służyć za miejsce schronienia, bo w paru miejscach skaliste ściany były mocno okopcone. Chłopaki pasące bydło w lesie, wiedzieli także o tych jamach, ale żaden z nich nie zebrał się na odwagę zajrzeć do nich; tembardziej, że mówiono w okolicy, iż nieraz w nocy pokazywać się miały w tych otworach jakieś ognie. Byli to zapewne jacyś ludzie, którzy tu się ukrywali. Zabobonny lud jednak inaczej sobie to zjawisko tłómaczył.

Nuchem, bo to on był właśnie owym handelesem, którego widzieliśmy przed karczmą, dowiedział się o tej kryjówce od jednego ze złodziejskiej szajki i raz ścigany przez żandarmów schronił się tutaj.

Odtąd dosyć często w chwilach niebezpiecznych chowali się tutaj z Grünwaldem. Teraz schronienie stało się dla nich więcej potrzebne niż kiedykolwiek. Policya bowiem po odkryciu, jakie zrobiła w mieszkaniu córki Grünwalda, poszukiwała jego i wspólnika jego z wielką gorliwością. Jakkolwiek umieli zmieniać się do niepoznania, wszelkie takie przemiany na krótki tylko czas im wystarczały, nigdzie dłużej zatrzymać się nie mogli, bo policya baczne oko zwracała na wszelkie osoby, które nie mogły dostatecznie usprawiedliwić swojego utrzymania i pochodzenia. Uciekali więc z miejsca na miejsce pod różnemi postaciami i nazwiskami, aż wreszcie musieli tutaj szukać schronienia. Czasami tylko na kilka dni wydalał się jeden lub drugi dla zaopatrzenia się w żywność i zebrania wiadomości, które ich obchodziły. Obecnie wypadła kolej na Nuchema. Grünwald niecierpliwie oczekiwał jego powrotu. To też gdy wszedłszy w podziemia dał hasło, stary żyd co prędzej zerwał się z legowiska, urządzonego w najsuchszem miejscu pieczary i poszedł naprzeciw niemu.

— No, cóż — spytał zbliżającego się ku niemu Nuchema — jakież nowiny, mów.

— Ny, jakie mają być nowiny, złe. Żandarmi polują na nas wszędzie jak na wściekłych psów; ogłaszają po wsiach nagrodę za złapanie nas. Pomimo przebrania, o mało że mnie chłopi nie capnęli. Dłużej tu utrzymać się nam niepodobna. Tak przecież wiecznie żyć w jaskini jak dziki zwierz nie można. Trzeba nam ztąd się wynieść i świsnąć do Ameryki. Tam człowiek będzie mógł swobodnie odetchnąć.

— Tak, uciekać, ale o czem?

— Jakto i my nie mamy o czem uciekać? Co? Ty śmiesz mi to mówić? — spytał Nuchem, przybliżywszy się do Grünwalda, że piersią o jego piersi uderzył i patrzał mu bystro w oczy.

— No, przecież wiesz, że nam zabrali wszystko.

— A te pieniądze, coś złożył w kasie oszczędności, hę? Czy ty myślisz, że ja nie wiem o nich, choć mi ani słowa nie powiedziałeś. Powiem ci nawet, na jakie nazwisko je zapisałeś, na Szat Goldę. Widzisz, że wiem o wszystkiem. Ty mnie nie wywiedziesz w pole.

— No i cóż z tego, żem je tam złożył. Te pieniądze nie należą do naszego wspólnego działu, to są wyłącznie moje, składałem je na posag dla Małki.

— A że Małka ma być moją, więc te pieniądze mnie się patrzą.

— No tak — mruknął żyd po chwili namysłu — będą twoje jak zostaniesz jej mężem, a do tego jeszcze daleko. Ona w kryminale, kto wie kiedy ją puszczą, a ja bez niej się nie ruszę.

Wspomnienie córki rozmiękczył ogłos jego, ostatnie słowa wymówił prawie z płaczem.

— Biedne dziecko — mówił siadając na posłanie i nurzając głowę w dłonie — co ona tam cierpieć musi.

— Dobrze jej tak. Po co nie trzymała języka za zębami. Ona nas zgubiła, przez nią straciliśmy wszystko.

— No, co ona biedna winna? Ona to zrobiła nie w złej myśli. Wygadała się zapewne przed kim.

— Jakto, przed kim? Wszak sam mówileś, że zapewne wygadać się musiała przed tym Leszczycem, czy Górskim, czy jak on się tam nazywa.

— Tak się domyślam, bo ona tam nikogo więcej nie znała.

— A ona zkąd znała tego Leszczyca?

— Znała jego matkę, całą rodzinę, bywała u nich.

— I pokazała im te kolczyki?

— Tak, zapewne.

— A on nie miał nic pilniejszego, jak zanieść co rychło do komisarza i zdradził nas. Bodaj jego za to choroba tłukła od nieba do ziemi. Będzie on za to pokutował, przysłużyłem ja mu się dobrze — mówił Nuchem wyciągając się na legowisku i wyszczerzył z złośliwym uśmiechem rzadkie zęby.

— Ty jemu? A to jak?

— Już ja wiedział jak. Trzeba ci wiedzieć, że on stara się o córkę tego bankiera z Wiednia?

— On? — spytał Grünwald i zerwał się prędko z siedzenia.

— Cóż ciebie to tak przestraszyło? — odezwał się Nuchem, którego zastanowiło to nadzwyczajne zainteresowanie się Grünwalda losami Leszczyca.

— Nic, dziwię się tylko, że taki golec, taki nędzarz, tak wysoko sięgnął, aż po córkę bankiera.

— Zachciało mu się pieniędzy bankiera i kto wie, czyby ich nie był dostał, bo widziałem na kolei, gdzie on czekał na nich, że córka bankiera dobrem okiem poglądała na niego.

— Więc czekał tam na nich?

— Czekał.

— To gałgan — zamruczał żyd pod nosem i wnet dodał zapewne z obawy, aby to oburzenie nie zadziwiło znowu Nuchema — teraz jeszcze prędzej dostanie bankierównę, kiedy im taką oddał przysługę. Może on nawet dla tego to zrobił. Przez niego cierpi teraz moja Małka.

— Będzie i on cierpiał, nie bój się. Znalazłem ja sposób przystawić mu stołka.

— A to jak?

— Poznałem w drodze jednego człowieka, który także ma chęć żenienia się z bankierówną. Ma to być jakiś urzędnik banku, bo chciał odemnie lasy kupować i dał mi swój adres. Otóż użyłem tego adresu, aby mu donieść, że Leszczyc nie jest Leszczycem, ale nazywa się właściwie Górski, i że ojciec jego siedział za złodziejstwo. Podałem mu według tego jak mi ty mówiłeś, lata, w których Górski siedział w kryminale i miejsce gdzie siedział. W jego interesie będzie to sprawdzić i postarać się o dowody, bo mu idzie o pannę. Zrobi więc wszystko, co będzie trzeba, a wtedy zobaczymy, czy ten pan Leszczyc dostanie bankierównę i jej majątek. A cóż, dobrze się sprawiłem, co?

— Doskonale — rzekł żyd zacierając ręce — zemścimy się za nas i za Małkę. Oj biedna ta moja Małka — zaczął znowu lamentować, gdy wspomniał o córce — czy nie słyszałeś co o niej?

— Przewieźli ją do Tarnowa do kryminału. Podobno mówi na siebie niestworzone rzeczy i gwałtem dopomina się, żeby ją na śmierć za to skazali, bo inaczej ona sobie sama życie odbierze.

— Tak mówi? — spytał żyd z przerażeniem.

— Zwyczajne kobiece gadanie.

— O nie, ona to gotowa zrobić, ja ją znam. Matka jej była także taką. Muszę ją ratować koniecznie, ja już wiem, czem ją uspokoić.

— No czem?

— To już mój sekret. Sura powinna także w śledztwie zeznać o morfinie, aby biedne dziewczę nie siedziało długo w klatce. Ona nie powinna cierpieć. Tak, tak zrobię — mówił jakby do siebie chodząc po pieczarze i podrzucając co chwila ramię do góry. — Muszę się coprędzej z niemi zobaczyć.

— Z niemi zobaczyć? A to jak?

— Już ja znam sposób — rzekł tajemniczo, potem zapalił świecę i idąc po pod ścianę pieczary szukał swoich rzeczy.

Nuchem prędko skoczył za nim, chwycił go za ramię i odciągnął na środek.

— Nie chodź tam ze światłem, bo może być wypadek. Wszak ci mówiłem, ostrożnie, bo tu gdzieś proch leży w jakiemś zagłębieniu ściany i dużo go podobno po ziemi rozsypano. Jedna iskra i już po nas.

— Zkądby się tu proch wziął?

— A ja ci powiadam, że jest. Zadałem sobie raz tę pracę i obmacałem wszystkie zagłębienia tej pieczary, w jednej rzeczywiście namacałem baryłkę.

— Z prochem.

— Tak. A ten, co mi wskazał tę pieczarę, mówił, że tu wszędzie dużo prochu, bo jakiś z ich bandy raz rozbił całą jednę baryłkę, rozsypał po jaskini i chciał gwałtem wszystkich w powietrze wysadzić.

— Przez zemstę.

— Nie, podobno zwaryował. Musieli go zatłuc, bo byłby z pewnością to zrobił.

— To w taki sposób tu nie bardzo bezpiecznie — mówił żyd stary oglądając się z trwogą — możeby lepiej wynieść ten proch.

— Będziesz ze wszystkich szpar wymiatał?

To niepodobna. Zresztą po co? Przecież my tu wiekować nie będziemy. Skoro Małkę puszczą, opuścimy całkiem te miejsca, Galicyą, bo tu nie mamy już co robić. Ty wydobędziesz twoje pieniądze i pojedziemy do Ameryki. Tam założymy jaki interes z Małką, a ciebie weźmiemy na spólnika. W Ameryce też można robić interesa, jeszcze lepsze jak tutaj. No, cóż mi nie potakujesz, jakbyś był niekontent z tego. Ej bratku, ja uważam od jakiegoś czasu, że ty jakoś nie chcesz mówić ze mną o Małce; ile razy zaczynam mówić o mojem małżeństwie, to milczysz, albo zagadujesz: W tem jakiś nieczysty interes. Może tobie się coś odmieniło w głowie?

— Ale cóż znowu? — odrzekł żyd ruszając ramionami i zrobił minę niewinnego.

— No, niech cię ręka boska broni. Ty nie wiesz jeszcze co ja mogę, jak chcę. I ciebie bym zgubił i ją bym zgubił. Już ja bym znalazł sposób, żeby się na was pomścić.

— Nie pleć głupi, za co by się ty mścił? Co tu teraz o tem mówić? Niech tylko pierwej moja Małka będzie wolną. To najpierwsze.

Mówiąc to czołgał się koło ściany szukając po omacku swego zawiniątka. Znalazł je wreszcie, rozwinął, wydobył z niego lusterko, brzytwy i zabrał się do zmiany twarzy. Nuchem trzymał mu świecę i lusterko, on stał przed nim i golił brodę. Wśród tego Nuchem mówił:

— Ja także tu nie będę siedział w tej dziurze. Dostanę się na Węgry, mam tam w jednem miejscu także bezpieczne schowanie a trochę wygodniejsze i przyjemniejsze. Ale za miesiąc wrócę tutaj, słyszysz, wrócę tutaj.

— No, dobrze.

— I ty przyjdziesz tu także, to się zobaczymy i naradzimy. Dobrze?

— Dobrze, dobrze.

— Małkę do tego czasu może puszczą, to ją także przyprowadź tutaj. Teraz już nie będzie potrzeby taić się przed nią. Uradzimy wspólnie jak czmychnąć do Ameryki. E! tam to będzie życie, bracie — zawołał wesoło Nuchem i uderzył w ramię Grünwalda poufale.

— Co robisz waryacie, o małom się nie skaleczył — i odsunął prędko brzytwę od twarzy. Był już całkiem zmieniony. Z brody ani śladu nie zostało, a z wąsów zaledwie dwie plamy pod nosem, jak gdyby ślad od tabaki. Wyglądał na biednego szewca z jakiego małego miasteczka. Nuchem śmiać się musiał z niego, tak śmiesznie wyglądał stary żyd Grünwald.

— A co, dobrze tak? — spytał zadowolony.

— Własna córka by cię nie poznała.

— Tak trzeba. No, a teraz weźmiemy się do przebierania. (C. d. n.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO

z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Lecz i tej tak prostej, tak dobrej rady Skrzynecki nie usłuchał, nie czekał na przejście połowy piechotnych sił nieprzyjacielskich, most był przez naszych nadpsuty, z biedą przeprowadzili Moskale 4 dział, z resztą ani jednego ich konia na naszej stronie rzeki nie było. Gdy nasz batalion most przebywał, widziałem prócz saperów, siedzących pod mostem cieśli, którzy słupy podrębywali, nie było czasu mostu przerwać, musiano jednak kilkanaście dylów zrzucić, (nie zaatakował ją całą siłą, ale cząstkowo po dwa, trzy, lub kilka batalionów wyprawiał na bagnety, by odebrać most.) Rozumie się, iż jak grudka ziemi rzucona na ścianę, na atomy się rozpryśnie, tak też i słaba kolumna wojska o kilkakroć przemagającą uderzona, rozbić się musi. Taki też był koniec wszystkich tych ataków na bagnety, chociaż niejeden świetnie wykonany miewał początkowe powodzenie.

Z razu pułk nasz stał w ogniu armatnim, a był to ogień straszny, tak wielka ilość dział nagromadzona mniej jak na półmilowej przestrzeni wydawała nie pojedyńcze odgłosy, ale łączące się, a zgęszczone hukiem pękających granatów, czyniły dla ucha podobieństwo przeciągłego grzmotu. W sposobie strzelania zauważaliśmy zmianę. Kierowali działa bombardierowie, których Moskale od Prusaków zapożyczyli. Szczególnie dyrekcya lepiej była trzymaną. Około godz. 1szej rozkaz „Brygada na bagnety!“ Dowódzca brygady gen. Krasicki, tak miał ustawioną brygadę 3. i 4. pułku piech. lin., iż nasz 3ci batalion stał na prawem skrzydle brygady. Stanął on pieszo, bo gdy się idzie na bagnety, sztabowi oficerowie zsiadają z koni, na prawem skrzydle naszego batalionu i zakomenderował: „Do ataku broń! Brygada naprzód, batalion 3ci, batalion dyrekcyi, krok podwójny marsz, marsz!“ Ruszyła tedy brygada, mając przed sobą skomasowane całe skrzydło moskiewskiej piechoty; a równocześnie wykonywał gen. Kicki 2gim i 5tym ułanów szarżę na boki Moskali. Szarża ta kilkakrotnie ponawiana kosztowała wiele, bardzo wiele ofiar, strat dotkliwych, a owoców żadnych, już z powodu niedogodnego, błotnistego gruntu; konie grzęzły, na kępinach się przewracały, a do ludzi jak do kaczek strzelano, dodać i to potrzeba, iż finlandzcy strzelcy po całej linii rozsypani byli, a strzelają oni dobrze, a wzrokiem szlify oficerskie wyszukując, na cel je biorą.

Przy odgłosie bębnów posuwa się nasza brygada, a właściwie pułk nasz wolnym, determinowanym krokiem, Moskale sypią na nas ciągle rotowego ognia, mnóstwo ludzi pada, lecz to porządku nie mięsza, nieustanna komenda: „Na prawo zemknij się“ utrzymuje doskonałe równanie, słowem szliśmy tak jak ongi bywało na Saskim placu, tak nam później mówili ze sztabu ci, co się na nas z tyłu patrzali. Dzień był śliczny, gorący, na niebie ani chmurki; słońce przepysznym blaskiem przyglądało się bitwie. Moskale mieli kaszkiety z wierzchu pokryte lakierowaną skórą, od słońca łyszczące i migocące. Otóż gdyśmy się do nich o jakie sto kroków zbliżyli, kto się w ten zajmujący przedmiot spokojnie zapatrywał, spostrzegał patrząc po wierzchu kolumn takie falowanie, jakieby w przybliżeniu opisać, porównam do łanu dochodzącej pszenicy, gdy od wiatru w tę stronę i napowrót kłosami faluje. Takie falowanie zauważyliśmy po wierzchu najezdniczych kolumn, a nasi starzy żołnierze wywnioskowali z tego objawu, iż „będą zmykać“ i rzeczywiście, falowanie owe pochodziło z chwiejności kroku, i że Moskale naszem spokojnem przybliżaniem stropieni, oglądać się zaczęli, co zawsze dla atakujących dobrym jest przepowiednim znakiem. Jakoż gdy zbliżenie przyszło na niewięcej, jak dwanaście kroków, z naszej strony okrzyk, hura i pędem naprzód, ze strony Moskali najsromotniejsza ucieczka. I jak trzodę bydła lub owiec pędziliśmy ich zbitych w bezładną kupę przed sobą, bijąc i kłując przepędziliśmy ich przez gościniec, tu zabraliśmy ich cztery dział, dalej nad rzekę i nuż wytopić lub zabrać; gdy my w długiej pogoni także z porządku wyszli, natrafiamy nad rzeką kilka świeżych kolumn w pełnym porządku na nas czekających. Kolumny te przepuściły za siebie tłuszczę uciekającą, a my rozsypani musieliśmy się o nie zatrzymać. Niech tam Bóg nie pamięta Skrzyneckiemu, ale historya nie przebaczy, iż w ślad za nami nie posłał drugiej brygady, a całe skrzydło Moskali wytopione albo zabrane; gdy my sami sobie zostawieni, świeżemi kolumnami wstrzymani, musieliśmy sami zbierać się do odwrotu, a odwrót taki w rozsypie, jest to proste uciekanie, choćby żołnierz był najtęższy.

Taki los spotkał nasz świetnie rozpoczęty atak. Gdyśmy się już prawie od samej rzeki odwrócili, wpadli na nas Moskale, ci co w kolumnach stali, i owa uciekająca tłuszcza wodą wstrzymana. Przemagającą siłą otoczyli nas, bośmy z odwrotem nie bardzo się spieszyli i żal było oddać armaty miane już w naszem ręku. Tu zaczęła się ręczna bitwa i na bagnety lecz zarazem w takim ścisku przystępniejsze na kolby. Jednakże choć było bardzo ciasno, zaczęliśmy się w kupki łączyć; już byliśmy górą, bo to był rodzaj sformowania się i tak wybijaliśmy się, a gdy się uszło jakie parę set kroków, to już nas Moskale dalej nie ścigali. Piszący przebił się w kupie 50ciu do 60ciu żołnierzy; jak ciasto gniecione w ręku przybiera kształt pewien, kupka nasza w ciśnieniu przez Moskali, przybierała kształt trójkąta. Na czele trójkąta szedł szpicą porucznik Wolski pałaszem, i podoficer Hieronim Krzęciejowski bagnetem drogę trójkątowi torujący. Wprawdzie po odwrotowem ujściu parę set kroków już się Moskale dalej za nami nie puszczali, ale wnet rozpoczynali rotowy ogień, a kto wojnę zna naocznie, ten wie iż tak w pościgu jak i w odwrocie żołnierza będącego w rozsypce nie tak łatwo wstrzymać, każdy woła: stój! a każdy sunie naprzód, lub zmyka dalej. Gdy się więc szansa naszego ataku przeciw nam obróciła, a została nas już w pogoni rozsypanych, już się pułk na placu boju zebrać nie zdołał, chociaż sam Skrzynecki chcąc nas powstrzymać ku nam poskoczył, i sam przez chwilę znalazł się w bardzo silnym karabinowym ogniu. Popędził pułk do lasu; na placu boju zatrzymało się około 300 naszych, i sformowawszy trzy reprezentacye batalionów, stało na dawniej przez pułk zajętej pozycyi. Opowiadający miał szczęście znaleźć się między tymi trzystoma, i temu zawdzięcza, iż się naocznie i z bliska przypatrzył szarży artyleryi pułkownika Bema, o czem niżej.

Los jaki spotkał pułk 3ci po tym ataku, na sławę jego źle wpłynąć nie może, gdy zważymy wszystkie dotyczące okoliczności wyżej opowiedziane, a do tych dodam wyliczenie strat samych wyższych oficerów: gen. Krasicki dostał się do niewoli; pułkownik Dąbrowski sam tylko obronną ręką wyszedł; dowódzca 1. bat. major Kosowicz zginął; dowódzca 2. p. bat. pułkownik Thieme w niewolę wzięty; dowódzca 3. bat. pułkownik Jastrzębski kolbami zbity, żołnierze go zaledwie na płaszczu uniełi; major Kuhn jak sito bagnetami skłuty; a oficerów niższych nie zliczyć.

Gdyśmy w trzystu zatrzymali się, nie było ani jednego oficera, tak że jeden sierżant starszy zawołał: „a więc ja komenderuję pułkiem“ i on to nas podzielił na trzy części, później dopiero zaczęli się oficerowie niżsi ściągać.

Stojąc w tych małych kupkach reprezentujących bataliony, zasłanialiśmy się łańcuchem tyralierskim, często zmienianym bo ładunków zaczęło brakować i właśnie gdy już po trzeciej czy czwartej zmianie tyralierowie wracali do kolumn, nadjeżdża oficer ze sztabu i woła: „Wiara! kto ma ładunki na ochotnika na tyraliery!“ Że to żołnierz nad mniej niebezpiecznem, ale więcej nieprzyjemnem, bo bezczynne stanie w asekuracyi dział lub ogniu działowym, przekłada więcej niebezpieczną lecz ruchliwą czynność tyraliera-ochotnika wybiegło sporo; w lot ładunkami zaopatrzyliśmy się z ładownic pobitych Moskali i dalej w rozsypkę. Lecz oficer ten powiedział: „Wiara nie wiele strzelać, lecz co prędzej hura na bagnety, by oczyścić plac tyralierów moskiewskich, (których przeciw nam było bez liku), bo wy jesteście asekuracyą, za którą idzie artylerya“. Hura! i spędzić Moskali na ich kolumny, to rzecz dla nas zrozumiała; lecz żeby tyralierowie byli asekuracyą dla dział, to już coś nowego. Lecz rozmyślać nie było czasu, a więc dalej, biegiem podsuwać się pod linię tyralierów nieprzyjacielskich. Na prawo od nas stojący, a będący w komplecie batalion 6. pułku dowodzony przez majora Valintin d'Hauteville, swymi tyralierami w prawo posunionymi z nami był złączony. Podsunęliśmy się szybko i dyabelskiem natarciem popchnęliśmy przed sobą o wiele liczniejszy łańcuch moskiewski, i plac wolny. Był tu z nami por. Rojewski. Uskuteczniwszy pomyślnie jedno zadanie, szukamy wzrokiem artyleryi, którą asekurować mamy i spostrzegamy po za sobą rozwiniętą bateryą artyleryi konnej w odstępach plutonowych podstępującą na pozycyą. Każdy żołnierz trzymał przed sobą na koniu wiązkę faszyny, co z daleka dziwny pozór dawało, żołnierze faszyny te rzucali pod koła armat, gdy trzeba było smugę grzęską przebyć. Tu już baterya kopnęła się z miejsca marsz-marsz, na dystancyą strzału, na znak komendanta zatrzymał się nr. pierwszy, dał ognia, a wystrzał ten był hasłem dla drugiego numeru, którego wystrzał był hasłem dla trzeciego numeru, by się w miejscu zatrzymał i to samo uczynił, gdy tymczasem numera, które pierwej dały ognia wyprzedzały strzelające, wystrzał numeru trzeciego zatrzymywał nr. pierwszy; wystrzał powtórny numeru pierwszego, zatrzymywał numer drugi, i tak ciągle strzelając i w największym pędzie cwałując naprzód, baterya Bema i nas prześcignęła i pod kolumny moskiewskie podsunęła się na nie więcej jak 150 kroków. I strzelając naprzód kulami, potem kartaczami, a w końcu w tak bliskiej odległości świdrując kolumny nie już przez elewacyą, ale rzucanemi rdzennemi kulami, tak Moskalom zaimponowała, i tak Moskale zgłupieli, iż cofnęli się nad rzekę, w naszem ręku zostawiając gościniec i przeprawy przez Omulew, jakie my tyralierowie w liczbie 300 do 400 ludzi aż do końca dnia tego utrzymaliśmy. Działo się to około godz. 4tej po południu dnia 26. maja, a cała szarża artyleryi nie trwała dłużej nad 20 minut, wykonano z zadziwiającą szybkością. Ależ bo kto nie widział ewolucyi naszej artyleryi konnej, ten o szybkości jej działania wyobrażenia mieć nie może. Żołnierze obsługujący działa siedzieli na koniach, na komendę „naprzód, marsz-marsz!“ działa, żołnierze i jaszczyki z miejsca puszczały się cwałem (żołnierze jechali trójkami, a gdy przyszło do strzelania z każdej trójki żołnierz środkowy chwytał cugle pobocznych koni do trzymania, a poboczni jeden na prawo drugi na lewo zeskakiwali,) a każdy żołnierz artyleryi konnej był voltigerem, i jednym skokiem już byli przy dziale do obsłużenia onego każdy na swojem miejscu. Na komendę „Stój!“ konie działa, plutonu lub całej bateryi wedle komendy w miejscu się osadzały, i w tym samym tempie już żołnierze przy dziale; w drugim tempie działo odprzodkowane, do nieprzyjaciela obrócone, a konie z przodkiem odwrócone; w trzecim tempie działo nabite i wystrzał. Cała ta czynność zabierała tyle czasu ile potrzeba, by powolnie wymówić, raz, dwa, trzy. Po wystrzale w jednym tempie działo zaprzodkowane, lub jak pod Ostrołęką na przydłużnicach prolongeach zaczepione; w drugiem tempie działo z miejsca naprzód pędzi, a żołnierze wskakują na rwące się konie i już są za działem. Niedziw więc, iż przy tej szybkości w przeciągu 20 minut Bem ze swoich dwunastu dział paręset pocisków, a każdy morderczy na nieprzyjaciela rzucił, i tak blisko pod jego kolumny podjechał.

Dla lepszego wyjaśnienia opiszę podział bateryi: baterya liczyła 12 dział; dzieliła się na dwie półbateryе po 6 dział; półbaterya znów na trzy dwudziałowe plutony. Był więc 1szy, 2gi, 3ci, 4ty, 5ty i 6ty pluton. 1szy i 4ty pluton, to zmiany nr. pierwszy; 2gi i 5ty pluton to zmiany nr. drugi; 3ci i 6ty pluton to zmiana trzecia; tak więc od razu strzelało dział cztery. Działa jednego plutonu szły w takim odstępie, iżby końmi pociągowymi wygodnie odwrócić, bez uderzenia na działo drugie. Odstępy plutonowe były szersze, tak iżby cały pluton miał miejsce do odwrócenia się, i w takim porządku Bem, swoją sławną i dotąd w dziejach wojskowych niepraktykowaną szarżę wykonał. Koń ranny lub zabity bywał oderżnięty tak szybko, iż to dalszemu działaniu nie przeszkadzało, a zginęło wielu ludzi i wiele koni, bo Moskale, aczkolwiek ogłupieni, silny ogień rotowy na bateryą skierowany, ciągle utrzymywali.

Upokorzywszy Moskali i niejako przykuwszy ich do brzegu rzeki nieruchomie, Bem swoją bateryą ściągnął i stanął na tej pozycyi, z której ogień rozpoczął, w pogotowiu powtórzenia tej niespodzianki, i to było przyczyną, iż Moskale myśl posunięcia się naprzód zaniechali, i plac bitwy w naszem ręku zostawili. Sławny ten czyn artyleryi konnej pułkownika Bema widzieć mogły z naszego wojska: reprezentacya 3go pułku piech. lin. ze strony lewej; batalion 6go pułku p. lin. ze strony prawej i szwadron, a może dywizya 2go pułku ułanów w tyle stojący.

Pułkownik Bem sławną tą szarżą uratował zagrożoną armię naszą, bowiem rzecz się tak miała: po bezskutecznych atakach na bagnety naszej piechoty i po jej rozbiciu, Dybicz rozkazał swemu lewemu za rzekę przeprawionemu skrzydłowi piechoty, by uderzyło na nasze prawe skrzydło i złamało je. Gdyby mu się to było udało, nastąpiłoby odcięcie naszej armii od drogi odwrotowej, a może i jej zniszczenie, jak to starałem się przy opisaniu naszych pozycyi wyłożyć. Położenie było najkrytyczniejsze, bo za słabi byliśmy, atakowi przez Dybicza nakazanemu oprzeć się. Pułkownik Bem ze swoją bateryą stał podówczas w rezerwie; widząc jak się moskiewskie kolumny do ataku przygotowują, widząc całą krytyczność chwili, podjeżdża na swoim małym karym koniku do Skrzyneckiego, oznajmia, iż baterya jego do tego czasu czynną nie była, i prosi by mu pozwolił w tym razie ją użyć. Bem miał już wtenczas powagę, nie ośmielił się Skrzynecki żądania tego nieuwzględnić, a skutek okazał, ile przemysł Bema i wykonanie onego było wielkie i szczęśliwe.

Odtąd walka na całej linii przycichła i powoli ustała, oba wojska nieruchomie zostały na swych pozycyach, a my tyralierowie prawego skrzydła zatrzymaliśmy przez nas zdobyty i zajęty, tyle dla nas ważny trakt do Warszawy, i tak leżeliśmy w rowach po za gościńcem w spokoju, oko w oko, równoodlegle od łańcucha moskiewskiego, tak blisko, że mówić z nimi mogliśmy, a nawet rozmawiali. Zaś około nas leżało pełno trupów moskiewskich.

Tu pozwolę sobie wtrącić jedno wspomnienie pamiątkowe, i mały epizod mnie się tyczący:

Co do wspomnienia: Zdobycie sztandaru, symbolu pułku lub batalionu, dla żołnierza bardzo chwalebne; każdy żołnierz uważa to sobie za największe szczęście, a chętnie ryzykuje się gdy w boju ujrzy sztandar. Korzystając z tego, daliśmy sobie w poprzednich bitwach zabrać kilkanaście fałszywych sztandarów, na których stał w polskim i moskiewskim języku napis: „Za naszą i waszą wolność!“ Otóż dnia dzisiejszego w czasie ataków na bagnety naszej piechoty, kilkanaście takich sztandarów oddali nam Moskale, sam parę takich widziałem, które naszemu pułkowi podrzucono.

Teraz epizod mnie się tyczący: w ataku na bagnety, gdyśmy odwrócić się musieli, gdy Moskale nas otoczyli, i ścisk był okropny, jakiś Moskal tak mnie silnie w grzbiet lufą czy kolbą uderzył, iż mi od góry odbił tornister, jaki ja czemprędzej z przodu odpinając rzemień odrzuciłem. Zostałem przeto bez tornistra. Otóż nad wieczorem leżąc w rowie za gościńcem, powiadam do wiary, żeby mi się postarali o jaki tornister, byle był wypatroszony, co w języku żołnierskim znaczy, iżby był wypróżniony. Przynosi mi wnet żołnierz prześliczny tornister zdjęty z gwardzisty moskiewskiego i już wypróżniony; lecz że tam jeszcze coś było, wkładam rękę i dobywam, co? książkę; w jakim języku? polskim; jaka książka? Myszeis i Monachomachia Krasickiego. I rzeczywiście czyż to nie szczególne? Jeszcze jedno zdarzenie odnoszące się do tej chwili fatalnego zmięszania się naszego z tłuszczą moskiewską; gdyśmy się wymykali, by się w kupki łączyć, spostrzegam jak żołnierz z mego plutonu Rams, fechmistrz na bagnety, napadnięty został przez grenadyera, także jak widać fechmistrza, bo po kilku paradach grenadyer wpakował bagnet swój w lufę Ramsa, i przeważny siłą trząsł i bronią jego i nim samym, by bagnet wyrwać i nim mego biedaka przebić. Na to ja nadchodzę, zapominam o własnem niebezpieczeństwie, zbaczam parę kroków, i silnem na jakie tylko stać mię było pchnięciem w bok Moskala, na ziemię go powalam, stykam się z Ramsem, i we dwóch do kupki się formującej, obganiając się bagnetami zdążyliśmy. Jeszcze dziś pamiętam spojrzenie i wzrok padającego grenadyera.

Wracam do właściwego przedmiotu: Korzystając z przerwy i odpoczywając mieliśmy czas rozmyślać nad wypadkami dnia. A widząc nas tak szczupłą liczbę pozostałych z całego pułku, ze ściśnionem sercem obliczaliśmy straty nasze, i byliśmy pewni, że się już nie zbierzemy.

Z tak pięknego i dzielnego pułku zaledwie 300 się zostało! I to rozpamiętywanie, i tej treści pogadanki (tyralierowie szczególnie, gdy się nie biją, mogą się po kilku schodzić i rozmawiać, byle się prędko nazad rozchodzili) rozpaczliwem ubolewaniem nas przejmowały. Już się z kolegami naszymi, z poczciwą wiarą naszą nie zobaczymy, było ogólne przekonanie. Smutni na sercu, lecz silni i mężni, pokrzepieni duchem, zwycięzkiem zepchnięciem nieprzyjaciela i zajęciem pola walki, doczekaliśmy spokojnie wieczora, a około godz. 9ej rozkazu: „tyralierowie do kolumn.“ Przysłany z rozkazem oficer kazał nam się zebrać i prowadził do naszych kolumn, lecz tych kolumn a właściwie reprezentacyi batalionów, do których należeliśmy, już na miejscu nie zastaliśmy, wchodzimy w las, i tam — o dziwo! znajdujemy nasze bataliony w takiej całości i takim porządku, jak gdyby nic nowego nie zaszło: Szeregi wprawdzie przerzedzone, bo straty w zabitych i rannych nie małe, nie bez tego, iżby tam jaki żołnierz się nie zabłąkał, lub do niewoli dostał, ale pułk został jak był, tylko że rzeczywiście oficerów stosunkowo brakło więcej, a ze sztabowych sam tylko pułkownik był przy pułku. Radość niesłychana i wzajemna, to ci, których odszukaliśmy, nas za straconych mieli.

Gdy katastrofa podobna spotyka innego żołnierza, gdy jest w rozbiciu, ucieka za dziesiątą granicę, a gdy się do lasu dostanie, nikt go tam nie zbierze; w ucieczce ani woda, ani ogień nie wstrzyma. Nasz żołnierz z 1831 roku tak smutną katastrofą dotknięty pod Ostrołęką, dochodzi w rozsypce do lasu, ma w duszy wyryte, że odwrót dozwolony, ale nigdy ucieczka, za pierwszemi drzewami zatrzymuje się, jakąś siłą wewnętrzną powodowany formuje się i wnet gotów z nieprzyjacielem się zmierzyć. Tak zrobiły wszystkie nasze pułki, tak zrobił nasz pułk, sformował się najporządniej, i w parę godzin na zebranie się zużytych gotów był na rozkaz wodza ponownie iść w ogień. To też najsłuszniej zarzucają Skrzyneckiemu, iż cofnąwszy się pod Rożannę nie wydał Dybiczowi bitwy, Dybiczowi, którego armia tym razem niby to zwycięzka, bitwą Ostrołęcką okrótnie znękaną i zdemoralizowaną została, niezwalczonem męztwem naszych żołnierzy.

Gdyśmy z tyralierki do naszych batalionów wrócili, zastaliśmy jak lewe nasze skrzydło po za naszemi plecami, lasem i drożyną leśną ku warszawskiemu gościńcowi, to jest na naszą odwrotową drogę ściągało. Na grand-gardzie został batalion 20 pułku piech. lin. i ten aż drugiego dnia o świcie za armią podążył; zaś nasza dywizya na marsz ruszyła, jak tylko lewe skrzydło i kawalerya z pociągami nas minęły. O wschodzie słońca stanęliśmy pod Różanną, gdzie ziemi oddano zwłoki poprzedniego dnia poległego gen. Kamińskiego, dowódzcy naszej dywizyi. Po krótkim wypoczynku poszliśmy dalej; około południa przeszliśmy Pułtusk, a w nocy przebyliśmy pod Modlinem Narew połączoną z Bugiem, nieopodal ujścia tej rzeki do Wisły. W tem miejscu rzeka już jest wielką, pamiętam, że most był bardzo długi.

Skrzynecki prowadził nas tak forsownym marszem, jakby go kto gonił; a tu Dybiczowi ani się śniło ścigać nas, bośmy mu tęgie cięgi zadali, a kiedy mu się nie udało w najprzyjaźniejszych warunkach, jakie dla niego pod Ostrołęką się zebrały, zgnieść nas, to już zupełnie zwątpił, by nas swoją armią w otwartym boju zwyciężył. I niezawodnie, gdyby się było udało drugiego dnia na rękę go wyciągnąć, bylibyśmy mu dali potężny odwet; tak wnoszę po duchu i wesołości, jakiemi wojsko nasze jeszcze wtenczas ożywione było. Czemuż to Skrzynecki nie umiał dostroić ducha swego do wysokości ducha żołnierza. Był on za małym do tego, jak również za małym, by sumiennie chcieć wykonać plany, których on nie był twórcą — wolał źle zrobić, niż sławą i zasługą z kimsiś drugim się podzielić.

Spiesząc tak niemiłosiernie aż do przeprawienia się przez Narew, zrobiliśmy 12 mil drogi, niemal w przeciągu 28 godzin, odtąd idąc wolniej drugiego dnia stanęliśmy o dwie mile drogi od Warszawy pod Jabłonną, nie mało strudzeni, lecz maroderów w takich razach zwykłych, niemieliśmy wcale — najmniej porządku utrzymał 5ty pułk strzelców pieszych, zwanych „dzieci Warszawy,“ które to dzieci zanadto powrót do matki Warszawy przyspieszyły i przesadzone złe wieści po stolicy rozniosły.

Bitwa pod Ostrołęką zaświadczyła o żywotności wojska naszego, że to materyał doskonały, ale zawsze pomimo otrzymania placu boju była klęską. Zebranie się rozbitej piechoty tak szybkie, tak kompletne; nic nie znacząca ilość zmaruderowanych, to znamiona jakiemi się żadne inne wojsko nie poszczyci, (gdyby nie ta cnota żołnierza, byłby mógł Dybicz znaleść tu odwet swej klęski z pod Dębe Wielkiego), ale powtarzam, klęska zawsze klęską. Moskale także w swoim rodzaju ponieśli klęskę, kiedy z tej bitwy żadnych stanowczych nie odnieśli korzyści. Opowiadał mi później hr. Leon Rzewuski, co on znów od generałów moskiewskich zasięgnął, iż na zapytanie jego: Czemu Dybicz nie korzystał z tej bitwy i nie usiłował nas ścigać, generał moskiewski starał się mu wytłumaczyć, iż od ścigania nas i niepokojenia cofającej się armii, co było właściwem działem kawaleryi, zasłoniła nas prywata Dybicza, który świetne rezultaty zniszczenia nas chciał zostawić korpusowi kawaleryi gen. Witta. Zanim — mówił generał pytany — korpus Witta zdołał się na przodzie uszykować, już się Skrzynecki oddalił po za dystancyą ścigania. Ja temu wcale nie wierzę, Dybicz nie ścigał nas, bo się uczuł więcej od nas zdezorganizowanym, a po wczorajszej nauce danej mu męztwem naszego żołnierza, tem więcej nie miał śmiałości. Bardzo byłbym mu wdzięczny, gdyby był nas ścigał, bo byłby nas w nieporządku nie zachwycił, a przeciwnie byłby zmusił do rozprawy pod Różanną lub Pułtuskiem, i tu byłby niemylnie na głowę pobity. Tu nie byłaby mu sprzyjała pozycya, i wreszcie byłby się ocknął Skrzynecki, który w pewnych razach jak np. pod Dobrem umiał być genialnym generałem. Naostatek w tyle Dybicza znajdował się dziesięciotysięczny korpus gen. Giełguda bitwą Ostrołęcką odcięty, zaś z boku już był w Serocku ze swoim korpusem nad Liwem zostawiony gen. Umiński. Jeszcze jedna okoliczność: Skrzynecki widząc Dybicza przed sobą, nie byłby w obawie, iż Dybicz idąc przez Serock, ubiegnie go i zabierze Warszawę, co było jego ideą fixe, w imię której tyle głupstw strategicznych popełniał, i dla której tak nagle odwrót nasz z pod Ostrołęki przyspieszał, bez względu, iż z tamtej strony trzynastotysięczny korpus Umińskiego Pragę zasłaniał.

Bitwy Ostrołęckiej można było uniknąć, albowiem gdy o godz. 1ej z rana dnia tego, to jest 26. maja, korpusy nasze o milkę od Ostrołęki stanęły, toć było dosyć czasu, by naraz po dwóch mostach przeszły, zanim Dybicz połączony z gwardyami nas mógł zaatakować. Szło tu o nadejście korpusu Giełguda od Łomży wracającego, lecz ten korpus i tak dla nas straconym został. (C. d. n.)

UMARŁA!....

rzecz napisana podczas grania Sonaty Beethovena op. 13. — przez p. H. S.

Przez

J. CHOROŚNICKIEGO.

I.

Przed werandą Mnichowskiego dworu zatrzymał Henryk spienionego konia.

Anna stała zadumana na balustradzie. Usłyszawszy tentent kopyt końskich tak dobrze, tak bardzo dobrze znany i codzień słyszany tentent, podniosła śliczną główkę i ręce obie wyciągnęła...

Równocześnie Henryk osadził konia, który wstrząsł się i do rąk wyciągniętych piękny łeb swój wysunął.

— Jak można tak zmęczyć biedne zwierzę — rzekła Anna.

— Cieszyłem się, iż pani mnie tak witasz obiema rękami, a tyś je wyciągnęła do Kinga — mówił młody człowiek podając rękę Annie.

— Biedny mój Kingu! — szeptała Anna dalej gładząc białą ręką rozdęte nozdrza zwierzęcia — biedny mój, tak cię twój pan zawsze zmęczy bez miłosierdzia...

Henryk całował rękę, co gładziła jego konia.

— To prawda, że King nie winien temu, iż ze Złotej Góry tak daleko do Mnichowa... ale jemu codzień spieszniej w tę drogę... że wstrzymać go nie mogę.

Anna patrzyła za Kingiem, którego odprowadził chłopiec stajenny.

— Śliczne zwierzę! — rzekła siadając na ogrodowym foteliku i wskazując obok miejsce przybyłemu. — Ślicznym jest; gdy umrę... chciałabym takiemi końmi na cmentarz być odwieziona.

Henryk poruszył się niecierpliwie i wąsa targnął...

— Dla czegoż nie od ślubu? Zawsze tak ponure myśli w główce — narzeczonej! Ludzie mówią, iż wtedy kobieta powinna czuć się najszczęśliwszą, że wtedy powinna mieć różowe myśli, tkane złotą nicią miłości... czułą i delikatną ręką amorka.

Anna patrzyła na narzeczonego długiem i przeciągłem spojrzeniem.

— Wszak mówią także, — odparła po chwilce — „gdy na dziewczynę zawołają żono, już do grobu ją położono.“ Nie powinieneś więc czuć się dotkniętym.

— Gdyby to po raz pierwszy było, nie bolałby mnie pewnie żart twój, i potrafiłbym go odgadnąć... ale! zbyt często podobnym głosem do mnie przemawiasz, aby mogło mi to być obojętne.

— Już znowu robi mi wyrzuty srogi mój pan narzeczony — szepnęło dziewczę, patrząc na Henryka ślicznemi oczyma.

— Cóżem winna, że tak często nachodzą

mnie smutne myśli... Wszak taką mnie już poznałeś, nigdy inną nie byłam... Owszem, Mulska mówi, że przecie znalazł się ktoś, co nie daje mi płakać bez przyczyny. Wierzaj mi — dodała ze ślicznym uśmiechem — nie raz wstrzymuję się od łez myślą, że ty się będziesz gniewał na mnie... od łez, których powodu, przyczyny, w żaden sposób podaćbym nie mogła.

Henryk wziął delikatnie rękę jej w swoje dłonie i całując śliczne paluszki, patrzył na nią z zachwytem.

Anna w twarz jego utkwiła swe piękne oczy.

— Są czasem — mówiła — dziwne, straszne chwile w życiu naszem, które zapanowują i zawładają tak nad biednem jestestwem człowieka, iż stajemy się mimowoli ich niewolnikami; nie umiemy znaleść tyle sił, aby opór stawić uczuciu, które taka chwila przynosi. Przychodzi... czujemy, iż się zbliża, zbieramy siły, aby nad niem zapanować i.. już zapóźno... Chwila okropna przyszła, ogarnęła nas, porwała i jesteśmy bezsilną ofiarą.

Wczoraj gdyś w ciemną noc spiął konia... stałam długo na werandzie, tu na tem miejscu, słuchałam echa kopyt Kinga... znam doskonale jego kroki, jego chód równy, jednostajny, który słyszę zawsze aż do mostku koło figury, bo do tego miejsca zawsze zwolna jedziesz... prawda?

— Prawda.

— I wczoraj tak jechałeś?

— Tak jest...

— Czy jechał kto z tobą?

— Nikt.

— Jam to sobie myślała, a przecież nie słyszałam nigdy takiego odgłosu od Kinga stąpania. Były to kroki nierówne, jakby utykał na nogę, lub stąpał po rozpalonem żelazie...

Zebrał mnie lęk jakiś; zdawało mi się, że ci jakieś niebezpieczeństwo grozi, chciałam lecieć na pomoc... nie mogłam, chciałam się modlić za ciebie, słowa marły mi na ustach... nogi i myśli służby odmówiły. Nagle obok mnie puszczyk zahuczał i psy wszystkie wyć zaczęły... muzyka okropna. A ja nie mogłam się ruszyć z miejsca, nie mogłam odejść, aby nie słuchać tego... jeszcze dziś, teraz brzmi mi w uszach okropny głos sowy... Czy ty masz kiedy takie uczucie jakbyś miał sztylet w sercu?

Henryk ciągle patrzył na Annę i nie wypuszczał jej ręki z dłoni swoich.

— Miałem — odrzekł poważnie — będzie temu lat dziesięć, gdym szedł za trumną matki... ale wtedy wiedziałem, że i jakie spotkało mnie nieszczęście, od czasu jednak gdym poznał ciebie, nigdy, nigdy smutnych nie mam myśli.

— O! nie bierz Henryku słów moich z bolesnej strony, nie bierz ich tak, jakobym nie była dziś szczęśliwą... jakobym nie była przekonaną, iż będę z tobą szczęśliwą... Ja wiem, że grzeszę temi słowy i nie powiedziałabym ich nigdy nikomu; aleś ty bardzo rozpieścił swoją Annę, przyzwyczaiłeś ją do tego, iż znosisz każdy jej kaprys, i umiesz zawsze, cicho, spokojnie jakoś tak, iż sama nie wiem kiedy, ukołysać i uspokoić rozdrażnioną wyobraźnię... Dla tego dotąd nie mam spokoju, dopokąd przed panem moim wszystkich moich nierozsypię czarnych myśli... dopokąd on jakoś w dziwny sposób różczką czarú nie rozjaśni mego smutku, tak, że to co mi się przed chwilą wydało smutnem, wydaje mi się wesołem, ubranem w kwiaty...

— W róże — poderwał Henryk — w róże, których Anna moja ubierać nie lubi, a w które stroi się chętnie na moje prośby...

— Tak, bo gdy ty jesteś przy mnie, Anna twoja, która była smutną, staje się wesołą.

— Bo smutku nie lubię. Ot teraz np. nie lepiej mówić o tem jak nasz dom urządzimy, jak o tych różnych smutnych rzeczach. Chciałem właśnie rady twej zasięgnąć w sprawie umeblowania twego pokoju. Powiedz mi otwarcie, czy się z planem moim zgadzasz, abym nie zrobił czegoś takiego, co się nie podoba mojej pani. Otóż pokój twój będzie niebiesko obity, wyścielony dywanem, bo oboje zarówno nie lubimy, gdy służba stuka się, usługując. Między oknami stoi biurko, nad niem zawieszony portret twej matki... na biurku drobiazgi do pisania... i...

— I w szerokich ramach mahoniowych ta twoja fotografia, którą ja tak lubię, a pod kloszem ów zasuszony bukiet róż, którym od ciebie dostała... — przerwała dziewczyna szybko, wpadając w mowę narzeczonego, jakby jej słowa padły z ust mimowoli, prawie bezwiednie.

— O! droga moja!! Pod owym obrazem, któryś sobie na ostatniej wystawie wybrała, stać będzie mała kozetka; na dwie osoby tylko... dla Anny i Henryka; szarą godziną będą oni tam zawsze siadywać... Dokoła stołu sześć karełek z różanego drzewa... obite materyą...

— Bronzową — wtrąciła znowu Anna.

— Może tą samą, co pokój, niebieską?

— Zgadzam się, zgadzam bardzo chętnie.

— Naprzeciw mała szafka z książkami, w głębi fortepian. W oknie wiele róż kwitnących i kamelii, na słupie marmurowym wielki kwiat arona. W tym pokoju będzie zawsze siedzieć Anna i Henryk... i będą grali na fortepianie, i czytali różne rzeczy...

— A Henryk deklamować będzie:

„Troje nas było w tym gockim kościele..."

— Dobry wieczór państwu! — odezwał się z za drzew głos suchy.

Na schodach werandy stał człowiek garbaty z żółtą, pomarszczoną, gładko ogoloną twarzą, o piwnych nie wielkich oczach, nad któremi wcale brwi nie było.

— Dobry wieczór! — powtórzył ciesząc się widocznie wrażeniem jakie głos jego zrobił na młodej parze, bo uśmiech jakiś przebiegł po całej jego twarzy...

Śmiało mu się czoło, poruszając miejscem na brwi... śmiały usta drgając miejscem na wąsy.

— Dobry wieczór — odrzekł oschle Henryk, wstając zwolna ze swego karła.

— Takeście się państwo zagadali...

— Żeśmy nie uważali jak hrabia nadszedłeś — dokończył Henryk — to bardzo naturalne; mógłbym na odwrót powiedzieć, tak pan cicho zajechałeś...

— Broń Boże! nie chciałem państwu przeszkodzić, odprawiłem konie od furtki ogrodowej... Czy papy dobrodzieja nie zastałem w domu — dodał zwracając się do Anny.

— Ojciec zaraz powróci... proszę, siadaj pan.

. . . .

Przed werandą zarżał King donośnie, i nogą niecierpliwie grzebał i wędzidłem dzwonił...

Z daleka odpowiedziało mu głuche rżenie...

Noc była ciemna i znowu jak wczoraj goniły się chmurki po niebie...

Wiatr pieścił się z winogradem, którym otoczona była weranda Mnichowskiego dworu.

— Dobranoc Anno! — szepnął cichy, pieszczotliwy głos na werandzie.

— Dobranoc Henryku — odparł głos jeszcze cichszy, miększy i pieszczotliwszy.

Henryk postąpił dwa kroki ze schodów...

— Henryku! — zawołał za nim głos drżący.

Wrócił się.

Anna pochwyciła jego dłoń swą prawą ręką, lewą położyła na jego ramieniu... i sparła na niej główkę; Henryk czuł jej oddech na swej twarzy...

— Pocałuj mnie.

— Anno moja! — zawołał młody człowiek tuląc ją do piersi. — Wszak przed kilkoma dniami, gdym cię prosił, abyś mi to uczynić pozwoliła, żądałaś bym ci przyrzekł, że tego przed ślubem nie uczynię...

— Więc tybyś nigdy nie złamał słowa? obietnicy? przyrzeczenia?

— Nigdy! żadnego! zanim dam przyrzeczenie, obliczam zawsze możliwość dotrzymania danego słowa... a dawszy, muszę je dotrzymać czy to we wielkich, czy małych rzeczach...

— I nie zawiódłbyś nikogo i nie zdradził?...

— Ja?! przenigdy! brzydziłbym się sam sobą.

— Dziękuję ci! — zawołało dziewczę jakby otrząsając się z jakiegoś wrażenia, któremu uległo... bądź zdrów...

„Może ja umrę daleki od ciebie,
Nie będziesz nawet na moim pogrzebie,
. . . .
Gdy serce moje w trumnie się spopiela,
O zmarłem sercu pamiętaj niezłomnie."

W tej chwili koń parsknął, w bok się rzucił i o mało nie wyrwał z rąk służącego.

— Anno — rzekł Henryk głosem jakim się przemawia do rozkapryszonego dziecka — Anno moja!...

„Módl ty się za mnie, gdy z rozpaczy zginę
Za winę ojców i za własną winę.
Módl ty się za mnie, by mnie w moim grobie
Nie spiekielnił żal wieczny po tobie.
Módl ty się za mnie, bym u Boga w niebie
Po wiekach wieków kiedyś spotkał ciebie."

— Anno! moja Anno! co tobie jest!?

— Nic! wszak ty wiesz, że Krasiński jest moim ulubionym poetą, czasem czuję nieprzepartą potrzebę słyszenia słów jego... przynoszą mi one ulgę jakąś, choć sama nie wiem w czem... Bądź zdrów! King się znowu niespokoi... zdziczeje, gdy długo stać będzie czekając... Ja tak nie lubię, gdy ty w nocy sam powracasz... Nie jedź dziś... nie chciałabym się z tobą dziś rozłączyć...

— Wszak wiesz, że dziś odjechać muszę...

— Więc jedź! chciałabym już wiedzieć, iż jesteś na miejscu... ach, King znowu się niespokoi... King! Kingu mój! bądź spokojny i zanieś cało twego pana do domu — dodała głaszcząc zwierzę, które właśnie do samych schodów przyprowadzono.

— Zawsze się tak niepokoisz, a przecież nigdy mi się nic nie stało.

— To prawda! chwała Bogu daremnie się niepokoję, ale jedź już... jedź Henryku, póki koń spokojny.

— Bądź zdrowa! bądźże o mnie spokojna... — rzekł całując jej ręce.

— Bądź zdrów! — szepnęła kobieta... wyciągnęła ręce w ciemności, ale dłonie jej opadły... Henryka już nie było.

King pomknął z kopyta, a w uszach dziewczyny wśród tententu kopyt szumiały słowa:

— Dobranoc Anno!

Stała chwilę pogrążona w myślach a bezmyślna...

Nagle zbudził ją odgłos kroków...

Jak wczoraj słyszała i dziś kroki dwu koni... a nie mogła rozróżnić stąpań Kinga, chociaż je tak dobrze znała. Nie mogła rozróżnić pojedyńczych kroków, aby sobie powiedzieć: „to King“... nastawiła ucho...

Tentent miasto się oddalać, zbliżał się... rozlegał tuż obok niej prawie, za werandą, za liściami winogradu.

Ktoby mógł w noc tak późną w Mnichowie na koniu jechać? Zaparła dech w piersi... stała się nieruchomą.

— Hrabio — odezwał się nagle głos cichy wprawdzie, ale wyraźny, poznała w nim głos swego ojca — jeżeli to nie prawda, w łeb ci strzelę... — i słowa się urwały; chwilkę jeszcze dudniła ziemia pod końskiemi kopytami... i ucichło wszystko.

W dali brzmiał monotonny głos stróża nocnego:

„ostrożnie z ogniem!“

czasem pies szczeknął, i cisza zapanowała znowu głęboka.

Anna zerwała się...

— Ojciec mój... pojechał... dokąd? zaczem? o tak późnej porze... z kim?

Czym istotnie dobrze słyszała? mówił hrabio?... Oruski odjechał już dawno... Z kimże ojciec pojechał? z kim? po co?

Dla czego ze mną się nie pożegnał? w nocy? Chyba źle słyszałam.

Dwoma krokami znalazła się w ojca pokoju.

Na ścianie, jak zwykle, paliła się lampa przed obrazem Panny Częstochowskiej.

Zegar szedł głośno, jednostajnym monotonnym chodem.

Anna wszedłszy do pokoju postąpiła krok naprzód. Noga jej uderzyła o kulę pistoletową, która z głuchym łoskotem potoczyła się po pokoju... Drgnęła i wzrok jej padł nad łóżko: ojcowskich pistoletów nie było...

— Ojca nie ma! — szepnęła... — „jeżeli to nie prawda... to ci w łeb strzelę“ — co miały znaczyć te słowa...? Boże mój! oby Henryk szczęśliwie zajechał.

Gdy Anna przyszła do siebie stała nad nią siwa postać jej ojca; twarz jego blada pochylona była nad nią; krzaczyste wąsy dotykały prawie białego lica, a oko troskliwie i niespokojnie śledziło wyrazu jej twarzy.

— Anno moja — rzekł do niej stary szlachcic najczulszym głosem na jaki go stać było, aż drżała w nim łza źle ukryta — dziecię moje, co ty tu robisz tak późno?

— Nic ojcze — odparła przecierając czoło— co się ze mną dzieje... ojcze, czyś ty wyjeżdżał dokąd?

— Ja? jeździłem na folwark, tyś słaba... zmęczona, idź się położyć — dla czego nie ma Mulskiej przy Tobie?

Długo w noc pokój swój mierzył stary szlachcic wielkimi krokami.

Wąs siwy opadł mu, oko się zasępiło, na czole troska osiadła... a od czasu do czasu ciężkie słowa z ust się wyrywały.

— Nędznik... jedyne me dziecko, lis obłudny, unieszczęśliwić moje dziecko... kochanki! dziś gdy jest narzeczonym, cóż będzie gdy się ożeni!! Od niej jedzie wprost do kochanicy... nędznik!

Przeboleje... i wszystko skończone... Ha! Boże ciężko mnie ukarałeś za grzechy moje, krzyż twój w pokorze przyjmuję...

Stało się... ale dziecko moje uratuję choćby życiem własnem.

Słońce wschodzące widziało jeszcze bladą twarz ojca Anny i słyszało monotonne echa jego kroków i gorączkowo z ust wyrzucane wyrazy.

Nie rozbierał się wcale.

Był też blady bardzo, gdy Anna na drugi dzień weszła doń jak zwykle niosąc „dzień dobry.“

Patrzył na nią długą chwilę; wziął jej śliczną główkę w obie swe czarne dłonie i całując ją w czoło przemówił głosem poważnym i spokojnym:

— Anno moja! życie nasze nie zawsze jest wiązanką róż. Często, bardzo często ten, którego wola najwyższa nami kieruje wplata w nie troski, smutki i bole... więc choć Bóg oszczędzał cię dotychczas... musisz być na nie zawsze przygotowana... Jesteś Polką i chrześcianką.

— Mów ojcze, co się stało?

— Spokój twój jest mi rękojmią, iż wysłuchasz słów moich i postąpisz tak, jak na córkę moją przystało... Byłaś dotychczas pieszczonem dzieckiem — cios, który cię dziś spotkał, oczekuje od ciebie więcej sił i spokoju, aniżeli dziecięce znieść mogą siły...

— Henryk... — zawołała Anna otwierając szeroko oczy...

— Żyje i zdrów jest — dokończył ojciec— nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

— Innego nieszczęścia nie lękam się — słucham cię ojcze.

— Henryk jest niegodnym ciebie i dziś odeszlę mu dane słowo.

— Co?!

— Słyszałaś... Wiesz, jak bardzo go kochałem, wierzyłem mu i cieszyłem się, iż pod jego opieką pozostaniesz, gdy moje oczy nie będą mogły patrzeć na ciebie. Wiesz także, że rozważam każde słowo, zanim z ust moich padnie, że nie wydaję nigdy potępiających wyroków nie mając dowodów zebranych własnemi oczyma. Przysięgam ci tu przed tą Matką Bożą na szczęście twoje, na pamięć twej matki... że...

— Ojcze, nie przysięgaj!! — zawołała nagle Anna.

Coś dziwnego działo się w jej sercu... jakiś przewrót straszny... jakiś falujący potop uczuć, ból kurczowy i próżnia bezdenna... bezmierna.

Boleść wielka zrobiła w jednej chwili z rozpaczonej jedynaczki, nerwowej dziecinki — kobietę poważną, zrezygnowaną, silną, tak, iż postawa jej i słowa zdumiewały jej własnego ojca, i prawie przerażały.

— Więc jaka jest twa wola ojcze? — zapytała.

—Wola moja pragnie tylko szczęścia twego— zawołał stary przez łzy — pragnie widzieć cię szczęśliwą, a szczęścia nie ma tam, gdzie nie ma miłości... a miłość nie może mieć miejsca u człowieka, który od narzeczonej jedzie do kochanki. Gdybyś była panią nowomodnego świata, nieobchodziłoby cię wcale, lub przynajmniej bardzo mało wiarołomstwo męża... Ty jesteś inną kobietą i nie dalby ci szczęścia człowiek, któryby ci nie dał zarazem jedynej i wyłącznej swej miłości — spokoju, który daje tylko bezgraniczna ufność i wiara, a na tę...

— Jednem słowem, nie pozwalasz ojcze bym została żoną Henryka?

— Chyba po moim trupie — odparł stary poważnie — on na wiarę nie zasługuje.

— Ojcze mój — przerwała mu znowu Anna — od dzieciństwa mego, chociaż tak bardzo pieszczona przez ciebie, nauczyłam się szanować wolę twoją, i ulegać jej we wszystkich rzeczach. I w tej też chwili stanie się tak jak ty rozkażesz. Wiem, iż uczyniłeś podług swego serca i sumienia, iż uczyniłeś tak, jak tylko mogłeś uczynić... Nie chcę słyszeć i nie chcę wiedzieć jakiemi były pobudki, które ci te słowa podyktowały, musiałeś je pewnie rozważyć dobrze, kiedyś dla mnie wydał taki wyrok. Każesz... oddaję w ręce twe pierścionek, który jedynie mógł mnie szczęśliwą uczynić... ale przysięgam ci tak samo na cienie matki mojej, że nie wierzę choćby nawet twoim słowom, iżby Henryk mógł cokolwiek bądź zrobić, coby mogło zachwiać wiarę moją w niego, coby go czyniło niegodnym nazwiska uczciwego człowieka, a zatem czyniło niegodnym imienia twego syna.

Pojęcia o honorze i uczciwości, są zupełnie jednakowe u ojca mego i u mnie. To co ty nazywasz „złem,“ i w moich oczach jest potępienia godnem... dla tego mój ojcze dalej o nic nie pytam — dla tego nie chcę nic więcej wiedzieć. Bez twej wiedzy i przeciw twej woli nie wyjdę z pod dachu twego — jest mi więc zupełnie obojętną przyczyna, dla której wzbraniasz mi zostać żoną Henryka — bo powtarzam raz jeszcze szczerze i otwarcie, nie wierzę, aby mój Henryk mógł uczynić coś niegodnego... „Mój Henryk!!“ o! on już nie jest moim... Boże, mój Boże!!

(C. d. n.)

FRANIA.

(Z Béranger'a).

Jak to? bez względu na twe młode lata
Pani chcesz marzyć ze mną o miłości?
Dziś, gdy czterdzieści ciężkich lat przygniata
I serce moje i sny mej młodości?
Niegdyś rozniecał w mem sercu pożogę
Skromnej gryzetki uścisk, szczebiotanie...
Ach! czemuż dzisiaj tak kochać nie mogę,
Jak niegdyś kochałem Franię!

Pani, w karecie modnego pokroju,
Jaśniejesz strojna w brylanty i złoto;
Frania, w świeżutkim, choć ubogim stroju,
Lekka, śmiejąca, biegała piechotą.
Jej wzrok, by wzbudzić w duszy mojej trwogę
Rzucał do koła strzeliste wyzwanie,
Ach! czemuż dzisiaj tak kochać nie mogę,
Jak niegdyś kochałem Franię!

W salonach pani, źwierciadła wspaniałe,
Odpromieniają twe wdzięki dokoła;
U Frani było źwierciadełko małe,
Mnie się zdawało widzieć w niem anioła.
Ciężkie firanki nie kryły niebogę,
Słońce złociło jej białe posłanie,
Ach! czemuż dzisiaj tak kochać nie mogę,
Jak niegdyś kochałem Franię!

Twój świetny umysł, genjusza samego
Zdołałby zdumieć i za serce schwytać,
Pani! bez wstydu przyznam się do tego,
Frania zaledwie że umiała czytać.
Gdym ją oświecał, mędrca wdziawszy togę,
Rozwiązywała miłość nam zadanie.
Ach! czemuż dzisiaj tak kochać nie mogę,
Jak niegdyś kochałem Franię!

Mniej posiadała od pani uroku,
I serca nawet mniej moja bogdanka,
I mniej czułości błyszczało w jej oku
Dla szczęśliwego obok niej kochanka.
Tak, lecz do serca mego miała drogę:
Młodość, ach! moją, zapadłą w otchłanie,
Ach! czemuż dzisiaj tak kochać nie mogę,
Jak niegdyś kochałem Franię.

M. Rodoć

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ
EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Ciąg dalszy).

I.

Pewnego poranku majowego Rozalia przybiegła ze swej kuchni, trzymając jeszcze ścierkę na ręku, i z poufałością zepsutej sługi zawołała:

— Proszę pani iść prędko, prędko... ksiądz jest na dole, w ogrodzie doktora, i zabiera się do kopania ziemi!

Helena nie poruszyła się z miejsca. Ale Joanna wybiegła natychmiast, chcąc zobaczyć co to było. Wróciwszy — rzekła:

— Jaka ona nierozsądna ta Rozalia! wcale nie kopie ziemi. Rozmawia z ogrodnikiem, który układa kwiatki do małego wózka... Pani Deberle zrywa wszystkie swe róże...

— Do kościoła zapewne — rzekła spokojnie Helena, nie przerywając roboty swej.

W kilka minut później zadzwoniono, i ksiądz Jouve wszedł. Przyszedł, oznajmując, że nie będzie mógł być na przyszły wtorek. Wieczorami odprawiał nabożeństwo majowe. Proboszcz kazał mu zająć się ozdobieniem kościoła. Miało to być bardzo ładnie. Wszystkie panie dawały mu kwiaty. Obiecano mu nawet dwa drzewa palmowe wysokie na cztery metry; miał je postawić z prawej i lewej strony ołtarza.

— O mamo... mamo... — szepnęła Joanna, słuchając z zachwytem.

— A więc — rzekła Helena uśmiechając się — jeżeli wy, mój przyjacielu nie możecie przyjść do nas, my przyjdziemy do was... Joannie już się zawróciło w głowie od tych waszych bukietów.

Helena nie była wcale nabożna, nie chodziła nawet nigdy na mszę, tłumacząc się zdrowiem córki, która cała drżąca wychodziła zwykle z kościoła. Ksiądz unikał z nią rozmowy o religii. Z dobroduszną pobłażliwością mówił tylko, że piękne dusze same sobie kupują zbawienie miłością swoją i cnotą. Bóg sam, jeżeli zechce, poruszy kiedyś jej serce.

Przez cały dzień następny Joanna myślała tylko o majowem nabożeństwie. Rozpytywała matkę, przedstawiała sobie kościoł pełen róż białych, świec jarzących, niebiańskich głosów, przyjemnej woni. Chciała być co najbliżej ołtarza, by lepiej widzieć koronkową suknię Najświętszej Panny, suknię, która stanowiła majątek, jak mówił ksiądz. Helena uspokajała ją, grożąc, że nie weźmie jej, jeżeli zawczasu już przyprawi się o chorobę.

Nakoniec, wieczorem, po obiedzie wyszły. Noce chłodnawe jeszcze były. Wszedłszy na ulicę Annonciation, gdzie się znajduje Notre-Dame de Grace, dziecię drżało.

— Kościoł opalony jest — rzekła matka. — Usiądziemy przy lufcie. Kiedy otworzyła wypchane drzwi, które miękko zamknęły się za niemi, ciepłe powietrze otoczyło je a jednocześnie żywe światło uderzyło i spiewy zabrzmiały. Nabożeństwo było już rozpoczęte. Helena, widząc środek kościoła zapełniony, chciała przejść bokiem, ale z największą trudnością musiała przeciskać się w stronę ołtarza. Trzymając Joannę za rękę, cierpliwie posuwała się naprzód; wreszcie zaniechała tego zamiaru i wzięła pierwsze dwa krzesła, co jej wpadły pod rękę. Jeden z filarów zasłaniał przed niemi połowę choru.

— Nic nie widzę, mamo, szepnęła mała ogromnie zmartwiona. Bardzo tu złe miejsce.

Helena kazała jej milczeć. Dziewczynka zaczęła się dąsać. Widziała przed sobą tylko szerokie plecy starej jakiejś pani. Kiedy matka odwróciła się, ujrzała ją stojącą już na krześle.

— Zleź zaraz! — rzekła, przytłumiając głos. — Nieznośna jesteś.

Joanna upierała się przy swojem.

— Zobacz, mamo, to pani Deberle... Tam, na środku. Daje nam znaki.

Helena bardzo niezadowolona zniecierpliwiła się. Targnęła małą, która nie chciała usiąść. Od balu przez trzy dni pod pozorem rozmaitych zajęć nie była u doktora.

— Mamo — mówiła dalej Joanna z dziecinnym uporem — patrzy na ciebie, mówi ci dzień dobry.

Helena musiała nareszcie odwrócić oczy i przywitać się. Obie kiwnęły sobie głową z daleka. Pani Deberle ubrana świeżo i jasno, w jedwabnej sukni w paseczki, ozdobionej białemi koronkami, siedziała w środku nawy, o parę kroków od choru. Siostra jej, Paulina, była z nią; młoda dziewczyna zaczęła robić żywe giesta rękami. Spiew nieustawał; szeroki głos tłumu toczył się poważnie, ostre nuty dziecinne wzbijały się niekiedy wysoko i przerzynały rozwlekły, wahadłowy rytm hymnu.

— Chce, żebyś tam przyszła, widzisz! — rzekła Joanna tryumfująco.

— Niepotrzeba; bardzo nam tu dobrze.

— O, mamo, idźmy do nich... Mają dwa krzesła.

— Nie, zejdź, usiądź.

Ale obie siostry, nie troszcząc się tem wcale, że budzą zgorszenie, owszem zadowolnione, że zwracają na siebie uwagę, nastawały z uśmiechem na Helenę, i ta musiała wreszcie ustąpić. Powstała z miejsca i z Joanną uszczęśliwioną, starała się przecisnąć przez tłum; ręce jej drżały z tłumionego gniewu. Trudno było przejść; dewotki nie chciały usunąć się i rozgniewane z gębą otwartą z oburzeniem patrzały na nią, nie przestając spiewać. Tak się męczyła długich pięć minut wśród burzy głosów, które co raz mocniej huczały. Kiedy nie mogła iść dalej i stawała, Joanna patrzyła w puste i czarne gęby spiewających i przyciskała się do matki. Nareszcie dotarły do swobodniejszej przestrzeni przed chórem, kilka kroków tylko pozostało im.

— Chodźcież — szepnęła pani Deberle. — Ksiądz mówił mi, że przyjdziecie, zatrzymałam dla was krzesła.

Helena podziękowała i, chcąc przerwać rozmowę, zaczęła przewacać kartki w swojej książce do nabożeństwa. Ale Julia, mowna i wdzięcząca się jak w swoim salonie, z zupełną swobodą pochyliła się ku niej mówiąc:

— Nie pokazujesz się. Byłabym jutro poszła do ciebie... Nie byłaś chora przynajmniej?

— Nie, dziękuję... Rozmaite zatrudnienia...

— Posłuchaj, musisz przyjść jutro na obiad... Nikogo oprócz swoich nie będzie, tylko swoi...

— Nadtoś pani dobra — zobaczymy.

I postanowiwszy nie odpowiadać więcej, zdawała się zagłębiać w modlitwie i słuchać hymnu. Paulina posadziła Joannę przy sobie koło ciepłego kominka, przy którym się ogrzewała z zadowoleniem osoby czułej na zimno. Obie ciekawie podnosiły głowę i przypatrywały się wszystkiemu do koła: zajmował ich niski sufit, i rzeźby jego; spłaszczone kolumny, połączone łukami, z których zwieszały się żyrandole; wreszcie rzeźbiona dębowa ambona. Po nad ruchomą falą głów wzrok ich prześlizgał się i wciskał aż do ciemnych zakątków obu stron nawy, do kaplic, gdzie połyskiwały złocenia, i dosięgał wreszcie chrzcielnicy, zamkniętej kratą a stojącej przy głównych drzwiach. Zawsze jednak oczy ich zwracały się do choru jaśniejącego żywemi barwami i złotem; kryształowy pająk cały w ogniu spuszczał się ze sklepienia; olbrzymie kandelabry tworzyły stopniowe szeregi jarzących się świec, które jak gwiazdy przetykały ciemne tło kościoła i rzęsiście oświecały główny ołtarz, podobny do wielkiego bukietu kwiatów i liści. W górze pośród pęków róż Najświętsza Panna, ubrana, w jedwab i koronki, uwieńczona perłami, trzymała na ręku Jezusa w długiej sukni.

— A co, ciepło ci? — spytała Paulina. — Jak to przyjemnie!

Joanna z zachwytem przypatrywała się Matce Boskiej, stojącej wśród kwiatów. Zaczynała drżeć. Przejmowała ją obawa, że nie jest dość grzeczna, i spuściła oczy, starając się zająć czarnemi i białemi taflami posadzki, by powstrzymać się od płaczu. Słabe głosiki dzieci choru lekkim podmuchem podnosiły jej włosy.

Helena z oczami, zwróconemi na książkę, usuwała się od Julii, ile razy uczuła muśnięcie jej koronek. Nie była przygotowana na to spotkanie. Pomimo przysięgi, którą sama siebie związała, że będzie uczciwie kochała Henryka i nigdy nie zgodzi się należeć do niego, doznawała jednak nie miłego uczucia na myśl, że zdradza tę kobietę tak ufną i wesołą. Jedno tylko zajmowało ją teraz, że nie powinna być na tym obiedzie, i rozmyślała tylko, w jaki sposób ma nieznacznie zerwać stosunki, które obrażały wrodzone jej uczucie prawości. Ale nosowe głosy spiewaków, grzmiące o kilka kroków, przeszkadzały jej myśleć; nie mogła nic wynaleść, monotonna nuta hymnu lekko kołysała umysł wprawiając go w stan jakiejś błogiej ociężałości i nabożnego zadowolenia, którego dotąd nigdy nie doznawała w kościele.

— Słyszałaś o historyi pani de Chermette— odezwała się znowu Julia, nie mogąc się oprzeć chętce mówienia.

— Nie, nic nie wiem.

— Wyobraź sobie... Widziałaś jej córkę, tę tak wielką na swoje lat piętnaście? Mówią o wydaniu jej za mąż na rok przyszły za owego małego brunecika, co to się wciąż kręci koło matki... Gadają o tem, gadają wiele..

— Ach! — rzekła Helena, nie słuchając tej paplaniny.

Pani Deberle wdała się w szczegóły. Nagle hymn ustał, organy jękły i ucichły. Zamilkła i ona wówczas, zadziwiona własnym głosem, który jej samej wydał się bardzo donośny wśród ogólnego milczenia. Na ambonie ksiądz się ukazał. Tłum poruszył się falą, ksiądz przemówił. Nie, nie pójdzie na ten obiad. Z oczami utkwionemi w księdza Helena przedstawiała sobie to pierwsze spotkanie z Henrykiem, które ją przerażało od dni trzech; widziała go bladym od gniewu, wyrzucającym jej, że się zamknęła u siebie, i lękała się, że nie będzie miała dość siły, by mu odpo-

wiedzieć na to z zupełną obojętnością. Tak dumając zapomniała o księdzu, od czasu do czasu tylko jakiś frazes wpadał jej w ucho, i przenikający głos dochodził do niej z góry:

— Matka Boska, z niewymownem uczuciem pochylając głowę odrzekła: Oto ja jestem służebnica Pańska...

O! będzie miała odwagę, cały jej zdrowy rozsądek wrócił. Będzie się upajała jego miłością, ale nigdy nie wyzna swojej; wiedziała, że tą ceną tylko może okupić spokój. Jakże głęboko będzie go kochała, nie wyznając tego, zadawalniając się jednem słowem Henryka, jednem spojrzeniem, które zamienią z sobą, kiedy przypadek jaki zbliży ich! Marzenie to nasuwało jej myśl o wieczności. Kościoł, w którym się znajdowała, wydawał się jej przyjazny i miły. Ksiądz mówił:

— Anioł znikł. Marya pogrążyła się w rozmyślaniu nad boską tajemnicą, która się w niej spełniała; światło i miłość przenikały ją...

— Mówi bardzo dobrze, szepnęła pani Deberle, pochylając się. I tak młody, ma zaledwie trzydzieści lat, nieprawdaż?

Pani Deberle była wzruszona. Religia podobała się jej jako uczucie dobrego tonu. Dawać kościołom kwiaty; mieć małe interesa z księżmi, ludźmi grzecznymi, delikatnymi i dystyngowanymi; ustroić się do kościoła, gdzie zdawała się udzielać światowej protekcyi Bogu maluczkich i ubogich, wszystko to sprawiało jej szczególną przyjemność, tembardziej, że mąż nie był wcale religijnym, a zatem samo nabożeństwo miało dla niej pewien smak owocu zakazanego. Helena spojrzała na nią i odpowiedziała tylko kiwnięciem głowy. Obie miały twarze uśmiechnięte i oczy zamglone. Wielki hałas krzeseł i chustek podniósł się, ksiądz opuścił ambonę, rzuciwszy z niej ostatnie słowa:

— O! niech miłość wasza rozrasta się, pobożne dusze chrześciańskie. Bóg się wam oddał i serca wasze napełnia obecnością swoją, a dusza wasza obfituje w Jego łaski!

Organy zagrzmiały. Wyrazy gorącej miłości popłynęły w czułych wołaniach litanii do Matki Boskiej. Z głębi kaplic, z zakątków kościoła dochodził śpiew daleki i przytłumiony, jak gdyby ziemia odpowiadała na anielskie głosy dzieci chóru. Potężny oddech, na który złożyły się wszystkie usta, przelatywał po nad głowami, poruszając prosty płomień jarzących się świec; pośród ogromnego bukietu róż i kwiatów, które wyziewały ostatni swój zapach, Matka boska zdawała się pochylać głowę i uśmiechać się do Jezusa.

Nagle Helena odwróciła się; jakiś instynktowy niepokój ogarnął ją.

— Nie jesteś chora, Joanno? — spytała.

Dziewczynka, bardzo blada, z wilgotnemi oczyma, jak gdyby porwana miłośnym potokiem litanii, patrzyła na ołtarz i na róże opadające.

— Nie, mamo... — szepnęła. — Bardzo mi dobrze, tak jestem rada, o, tak rada...

Potem spytała:

— A gdzież jest nasz kochany?

Mówiła o księdzu. Paulina widziała go. Był w ławce choralnej. Ale chcąc go pokazać Joannie, trzeba było podnieść ją.

— A! widzę go... Patrzy na nas, robi małe oczka.

Ksiądz „robił małe oczka," jak mówiła Joanna, wtenczas kiedy się śmiał w duchu. Helena powitała go przyjaznem kiwnięciem głowy. Obecność jego przynosiła jej bezpieczeństwo pokoju była ostatnią przyczyną pogodnego zadowolenia, co czyniło jej kościół drogim i usypiało w uczuciu szczęścia pełnem pobłażania. Kadzielnice kołysały się przed ołtarzem, lekki obłok dymu wzbijał się w górę; nastąpiło błogosławieństwo, monstrancya podobna do słońca podniosła się powoli i przesunęła po nad głowami pochylonemi ku ziemi. Helena nię podnosiła się, podając się uczuciu przyjemnego odrętwienia; w tem, usłyszała głos pani Deberle:

— Skończyło się już, chodźmy.

Stuk krzeseł i odgłos kroków rozległ się pod sklepieniem. Paulina wzięła Joannę za rękę. Idąc naprzód z dzieckiem, pytała ją:

— Nigdy nie byłaś w teatrze?

— Nie. Czy to jeszcze ładniej?

Mała, której pierś podnosiła się głębokiem westchnieniem, potrzęsła głową jak gdyby mówiąc, że nic nie mogło być piękniejszego. Ale Paulina nie odpowiedziała; zatrzymała się przed księdzem, który właśnie przechodził w komży. — Co za przepyszna głowa! — zawołała na głos tak, że aż dwie dewotki odwróciły się.

Helena, podniosłszy się, szła obok Julii pośród tłumu, który posuwał się z trudnością. Rozczulona i jak gdyby zmęczona i bezsilna, nie doznawała już teraz żadnego niepokoju, czując ją obok siebie. Ręce ich zetknęły się z sobą na chwilę i one uśmiechnęły się do siebie. Duszno było w tłumie; Helena chciała, by Julia szła naprzód i osłaniała ją. Dawna zażyłość między niemi wróciła.

— A zatem zgoda, nieprawdaż? — spytała pani Deberle, czekamy na was jutro wieczór.

Helenie brakowało już teraz woli — nie odpowiedziała nic. Zobaczy jeszcze na ulicy. Nareszcie wyszły na samym ostatku. Paulina i Joanna, stojąc na przeciwległym chodniku, czekały na nie. Ale płaczliwy głos jakiś zatrzymał je.

— O moja dobra pani! jakże dawno nie miałam szczęścia oglądać was!

Była to matka Fétu. Żebrała u drzwi kościoła. Zastępując drogę Helenie, jak gdyby czatowała na nią — mówiła dalej:

— Ah! byłam bardzo chora, zawsze tam, w brzuchu, wie pani... Teraz to tak jak młotem stuka... I nic a nic, moja dobra pani... Nie śmiałam oznajmić o tem... Dobry Bóg wynagrodzi ci to!

Helena wsunęła jej była pieniądz do ręki, obiecując, że będzie pamiętała o niej.

— Patrzcie! — rzekła pani Deberle, która została była w przysionku, ktoś rozmawia z Pauliną i Joanną... Ależ to Henryk!

— Tak, tak, odezwała się matka Fétu, której małe oczka biegały od jednej do drugiej kobiety, to dobry doktor... Widziałam go przez całe nabożeństwo, wciąż stał na chodniku, czekał na panie, z pewnością... O to święty człowiek! Mówię tak, bo to prawda, najświętsza prawda, jak Bóg widzi... O, znam panię; ma pani męża, który zasługuje na to, by był szczęśliwy... Niech się staną wszystkie życzenia wasze, niech Jego błogosławieństwo nie opuszcza was nigdy! W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen!

I w tysiącznych zmarszczkach jej twarzy, pomiętej jak stare jabłko, małe oczka, złośliwe i niespokojne wciąż się przenosiły od Julii do Heleny tak, że trudno było zrozumieć, do kogo się zwracała, mówiąc o dobrym doktorze. Szła za niemi wciąż mrucząc; urwane frazesa, płaczliwym wyśpiewywane głosem, plątały się z nabożnymi wykrzyknikami.

Zachowanie się Henryka względem Heleny, zadziwiło ją i rozczuliło zarazem. Zaledwie śmiał podnieść oczy na nią. Żona zażartowała z jego przekonań, które nie pozwalały mu wejść do kościoła, on odpowiedział po prostu, że paląc cygaro wyszedł na ich spotkanie; Helena zrozumiała, że chciał ją ujrzeć i dowieść, że się myliła, jeżeli bała się nowej natarczywości z jego strony. Zapewne i on przysiągł sobie, że będzie roztropnym. Nie zastanawiała się nad tem, czy mógł być szczerym w obec samego siebie; czuła się nadto nieszczęśliwą, widząc go smutnym. To też rozstając się z Deberle'ami na ulicy Vineuse, rzekła wesoło:

— A więc zgoda, jutro o siódmej.

Ściślejsze niż kiedy stosunki, zawiązały się znowu między nimi, i rozkoszne życie zaczęło się. Helenie zdawało się, że Henryk nigdy nie dopuścił się żadnego szału; śniło jej się to; kochają się, ale nigdy nie powiedzą sobie tego, poprzestaną na tem, że nie jest to już dla nich żadną tajemnicą. Słodkie to były chwile; nie mówiąc o swej miłości, wyznawali ją sobie ciągle giestem, dźwiękiem głosu, milczeniem nawet. Wszystko prowadziło ich do tej miłości, wszystko skłaniało do tego uczucia, z którem się nierozstawali nigdy, którem oddychali jako jedynem powietrzem, w którem żyć mogli. Zasłaniając się prawością swą, ze spokojnem sumieniem odegrywali tę komedyą serca; nie pozwalali sobie nawet na ściśnięcie ręki, co niezrównaną rozkosz nadawało prostemu dzień dobry, którem się witali.

Co wieczór panie, jakby dla rozrywki, udawały się do kościoła. Pani Deberle znajdowała tam nową przyjemność, co wynagradzała jej trochę z tańcami wieczory, koncerta, pierwsze przedstawienia; przepadała za nowemi wrażeniami; nie spotykano jej teraz inaczej jak z siostrami i księżmi. Zasady pobożności, które wyniosła była z pensyi, wracały teraz do roztrzepanej głowy młodej kobiety i objawiały się małemi formułkami, które ją bawiły, jak wspomnienie dawnych dziecinnych zabaw. Helena, w której wychowanie nie wchodził wcale żywioł nabożności, ulegała teraz powabowi tych ćwiczeń religijnych, ciesząc się również przyjemnością, jaką Joanna zdawała się znajdować w nich. Jadano wcześniej, pędzono Rozalią, by się nie spóźnić i znaleść dobre miejsce. Potem zabierano Julią po drodze. Razu jednego wzięto także Lucyana, ale ten tak się źle sprawował w kościele, że odtąd pozostawiano go w domu. Ciepła atmosfera kościoła, iskrzącego się od świec, sprawiała wrażenie uspakajające i obezwładniające zarazem, co się nareszcie stało potrzebą dla Heleny. Jeżeli wątpliwość jakaś powstała w umyśle jej w ciągu dnia, jeżeli nieokreślony niepokój ogarnął na wspomnienie Henryka, wieczorem kościół usypiał ją na nowo. Kwiaty świeżo zerwane, przeciążały zapachem swoim duszne powietrze pod sklepieniem. Helena znajdowała tam pierwsze rozkosze wiosny i uwielbienie kobiety podniesione aż do ubóstwienia; a w obec Maryi dziewicy i matki, uwieńczonej białemi różami, upajała się tą tajemnicą miłości i czystości. Każdego dnia coraz dłużej klęczała. Czasami spostrzegała się sama, że trzyma ręce złożone. Po skończonem nabożeństwie, następował powrót do domu pełen przyjemności. Henryk czekał przy drzwiach; wieczory stawały się coraz cieplejsze; wracano ciemnemi, cichemi ulicami Passy, rzadkiemi słowy przemawiając do siebie.

— Ale stajesz się nabożna, moja kochana! — rzekła jednego wieczora pani Deberle, śmiejąc się.

Była to prawda. W otwarte serce Heleny

wchodziła pobożność. Nigdy nie myślała, by kochać było tak przyjemnie. Chodziła do kościoła, jak do miejsca gdzie wolno jej było rozczulać się, wolno mieć oczy wilgotne, i zatraciwszy wszelką myśl, ukorzyć się w niemem uwielbieniu. Codziennie przez jedną godzinę nie broniła się sercu; miłość, którą w sobie poskramiała dzień cały, mogła nakoniec objawić się na zewnątrz, wynurzyć w modlitwach w obec wszystkich, wśród religijnego dreszczu tłumu. Szept modlitw, klękanie, żegnanie się, słowa i giesta nieokreślone, a wciąż powtarzane, kołysały ją i zdawały się być jedyną mową, zawsze jednem i tem samem uczuciem, które wyrażało się tem samem słowem lub tym samym znakiem. Czuła potrzebę wierzenia, tonęła w miłości boskiej.

A Julia żartowała nie tylko z Heleny, utrzymywała ona, że i Henryk również stawał się nabożnym. Czekając na nie, czyż nie wchodził do kościoła! Ateusz, poganin, który utrzymywał, że szukał duszy końcem skalpela swego i nie znalazł jej jeszcze! Jak tylko spostrzegła go za amboną stojącego za jedną z kolumn, trącała Helenę łokciem.

— Spojrz, już on tam.... Wiesz, że nie chciał spowiadać się przed ślubem naszym... Co za mina nieoceniona, patrzy na nas z tak zabawnym wyrazem! Popatrz że się!

Helena nie zaraz podnosiła głowę. Nabożeństwo miało się ku końcowi, zapach kadzidła rozchodził się, organy wesoło brzmiały. Ale przyjaciółka jej nie takiego była usposobienia, by ją miała zostawić w spokoju; żądała koniecznie odpowiedzi.

— Tak, tak, widzę go — szeptała wreszcie Helena nie odwracając oczu.

Odgadła była obecność jego w chwili, kiedy hosanna podniosła się ze wszystkich stron kościoła. Zdawało się jej, że oddech Henryka dolatuje do niej na skrzydłach hymnu i muska jej szyję; zdawało się jej, że widzi po za sobą wzrok jego, oświecający nawę całą i złotym promieniem padający na nią, klęczącą w kornej postawie. Modliła się wówczas z taką gorliwością, że brakowało jej słów. On, bardzo poważny, miał minę męża, który przychodzi po żonę i przyjaciółkę jej, tak, jakby był przyszedł po nie do teatru. Ale kiedy się zbliżyli do siebie i wychodzili powoli pośród tłumu dewotek, oboje czuli się ściślej połączeni, te kwiaty i te śpiewy wiązały ich silniej; starali się nie mówić do siebie, bo serca im drżały na ustach.

Po dwóch tygodniach, pani Deberle zmęczyła się. Przeskakiwała ona zwykle z jednego upodobania w drugie; potrzebowała zawsze to robić, co robili inni. Teraz zajmowała się dobroczynną wysprzedażą; sześćdziesiąt piąter łaziła dziennie, kwestując obrazy u znanych malarzy a wieczorami prezydowała z dzwonkiem na zgromadzeniu dobroczynnych pań. To też jednego czwartku wieczorem, Helena i jej córka znalazły się same w kościele. Po kazaniu, kiedy śpiewacy rozpoczęli *Magnificat*, młoda kobieta po uderzeniu serca swego poznała obecność Henryka; odwróciła głowę i ujrzała go na zwykłem miejscu. Pochyliła czoło i tak pozostała aż do końca nabożeństwa oczekując chwili powrotu.

— Ach, jakże to grzecznie, że pan przyszedł — rzekła Joanna przy wyjściu, z poufałością dziecka. — Bałabym się, tak ciemno na ulicy.

Henryk udał zadziwienie. Sądził, że znajdzie tu żonę. Helena pozostawiła córce odpowiedź na to, sama szła za nimi milcząc. Kiedy tak we troje przechodzili przysionek, głos jakiś zajęczał koło nich:

— Zlitujcie się... Bóg wam to odda...

Co wieczór Joanna kładła dziesięć susów w wyciągniętą rękę matki Fétu. Ta, ujrzawszy teraz doktora samego z Heleną, zamiast zwykłych głośnych podziękowań, kiwnęła tylko głową z wyrazem porozumienia. A że kościół wypróżnił się, pociągnęła się za nimi, włócząc nogami i mrucząc niezrozumiale. Jeżeli noc była piękna, Helena i Julia zamiast wracać ulicą Passy, szły niekiedy ulicą Raynouard, przedłużając takim sposobem drogę tak o pięć lub sześć minut. Tego wieczora Helena pragnąc ciszy i milczenia, weszła także na ulicę Raynouard; wabiła ją ku sobie ta długa, pusta droga, którą gdzie niegdzie tylko oświecała latarnia gazowa, a żaden cień przechodnia nie pokazał się na bruku.

O tej godzinie w tej oddalonej części miasta Passy spało już, cicho oddychając jak prowincyonalne miasto. Po obu stronach chodników wznosiły się domy, pensye panien czarne i drzemiące, restauracye, których kuchnie świeciły się jeszcze. Ani jeden magazyn nie przerzynał ciemności błyszczącą wystawą swych okien. Samotność ta wielką sprawiała rozkosz Helenie i Henrykowi. On nie ośmielił się podać jej ręki. Joanna szła między nimi środkiem ulicy, wysypanej piaskiem jak aleja parku. Domy przerzedzały się, miejsce ich zajmowały ciągnące się mury, po nad którymi zwieszały się gałęzie powojów i pęki kwitnących bzów. Ogromne ogrody rozdzielały domy; tu i ówdzie przez kratę widać było ciemny kłąb zieloności albo trawniki, których delikatniejszy odcień bielił się między drzewami; kosaćce kwitnące w wazonach, które niewyraźnie się rysowały, rozlewały w powietrzu miłą, łagodną woń. Wszyscy troje zwalniali kroku, napawając się ciepłą wiosenną nocą i jej orzeźwiającym zapachem. Joanna, wesoła jak dziecko, podnosiła czasem głowę ku niebu i mówiła:

— O, mamo, spojrz, co to gwiazd!

Po za nimi kroki matki Fétu rozlegały się jak echo ich kroków. Zbliżała się do nich: słychać było urywki łacińskich wyrazów: *„Ave, Maria, gratia, plena“*, wciąż trzepane jednostajnym głosem. Matka Fétu mówiła różaniec, wracając do siebie.

— Mam jeszcze jeden pieniądz, może go jej oddać? — spytała Joanna matki.

I, nie czekając na odpowiedź, pobiegła do starej, która miała właśnie wkroczyć do pasażu wód. Matka Fétu wzięła pieniądz, wzywając wszystkie święte raju. Ale jednocześnie chwyciła rękę małej, zatrzymała ją i zmieniając głos rzekła:

— To tamta pani słaba?

— Nie — rzekła Joanna zadziwiona.

— O, niech ją Bóg ma w swojej opiece, niech ją błogosławi, ją i jej męża!... Zaczekaj, moja dobra mała panienko. Niech zmówię jedno *Ave Maria* na intencyą mamy twojej, odpowiesz *amen*, razem ze mną... Mama pozwoli, dogonisz ją.

Tymczasem Helena i Henryk, tak nagle zostawszy sami, drżąc stali pod wielkimi kasztanami, które ciągnęły się wzdłuż ulicy. Powoli postąpili byli kroków kilka. Pod drzewami ziemia zasłana była drobnemi kwiatkami kasztanów, stąpali więc po tym różowym dywanie. Wreszcie zatrzymali się; nie mogli iść dalej, wzruszenie tamowało im oddech.

— Przebacz mi pani — rzekł Henryk.

— Tak, tak, wyszeptała Helena szybko. Błagam pana, nie mów o tem.

Ale uczuła jego rękę, dotykającą się jej dłoni. Cofnęła się w tył. Szczęściem, Joanna wracała biegnąc.

— Mamo! mamo! — wołała, ona mi kazała zmówić *Ave* za twoje szczęście.

I wszyscy troje zawrócili na ulicę Vineuse, a matka Fétu stąpała po schodach pasażu wód, kończąc swój różaniec.

Miesiąc upłynął. Pani Deberle dwa czy trzy razy jeszcze pokazała się na nabożeństwie. Jednej niedzieli, ostatniej, Henryk znowu ośmielił się czekać na Helenę i Joannę. Powrót był rozkoszny. Miesiąc ten upłynął nadzwyczaj przyjemnie. Mały kościółek zdawał się służyć na to, by ukołysać i przygotować wybuch namiętności. Helena uspokoiła się naprzód, szczęśliwa, że w tem schronieniu religii mogła kochać bez wstydu, jak się jej zdawało; ale głucha praca trwała wciąż, i kiedy chwilami budziła się ze swego odrętwienia nabożnego, czuła się opanowaną, skrępowaną węzłami, któreby poszarpały jej własne ciało, gdyby chciała je zerwać. Henryk trzymał się zawsze jeszcze z daleka i z uszanowaniem. Jednakże nieraz spostrzegała płomień, przebiegający mu po twarzy. Lękała się jakiegoś uniesienia szalonej żądzy. Sama siebie przestraszała się niekiedy, czując nagły przystęp gorączki.

Jednego poobiedzia wracając z Joanną z przechadzki, skierowała kroki na ulicę Annonciation i weszła do kościoła. Mała uskarżała się na wielkie zmęczenie. Do ostatniego dnia nie chciała przyznać się, że wieczorne nabożeństwo nużyło ją ogromnie, tak głęboką w niem znajdowała przyjemność. Ale policzki jej pożółkły jak wosk i doktor poradził długie przechadzki.

— Usiądź tu — rzekła matka.—Odpoczniesz... Zabawimy króciutko.

Usadowiła ją koło słupa. Sama uklękła trochę dalej. W głębi nawy robotnicy zdejmowali obicia, wazony z kwiatami; nabożeństwo majowe skończyło się poprzedzającego dnia. Helena, ukrywszy twarz w dłoniach, nic nie widziała, nie słyszała nic, pytając sama siebie czyby nie powinna wyznać przed księdzem Jouve tę straszną walkę, którą toczyła z sobą. Możeby dał jej radę jaką, możeby wrócił utracony spokój. Ale z samegoż niepokoju tego wypływała bezmierna rozkosz. Cierpienie samo było jej drogiem; bała się, by ksiądz nie zdołał go uleczyć. Dziesięć minut upłynęło, godzina minęła. Zatopiona w wewnętrznej walce, o wszystkiem zapomniała.

A kiedy nareszcie podniosła głowę i oczy łez pełne, spostrzegła koło siebie księdza Jouve, który patrzał na nią smutnie. On to dozorował robotników. Poznawszy Joannę, zbliżył się.

— Co ci jest, moje dziecię? — spytał Heleny, która szybko powstała, ocierając oczy.

Nie znalazła odpowiedzi na to; bała się, że znowu padnie na kolana i wybuchnie płaczem. Ksiądz przystąpił jeszcze bliżej i rzekł łagodnie:

— Nie chcę cię badać, ale dlaczego nie zwierzysz mi się, mnie, jako kapłanowi, jeżeli już nie jako przyjacielowi?

— Później — szepnęła, później, przyrzekam to wam.

Z początku Joanna cierpliwie czekała na matkę i bawiła się, przypatrując szybom, statuom u drzwi głównych, scenom męki Chrystusowej, przedstawionym w płaskorzeźbie wzdłuż naw pobocznych. Powoli jednak chłód kościoła ogarniał ją jak całun; czuła się tak zmęczona, że nie mogła nawet myśleć. Religijna cisza kaplic, długie echo powstające za najmniejszym szmerem,

*

samo miejsce święte, w którem zdawało się jej, że zaraz umrze, sprawiały jej nieskreślone cierpienie. Najwięcej bolało ją to, że wynoszono kwiaty. W miarę jak wielkie bukiety róż znikały, ołtarz ukazywał się nagi i zimny. Marmury te, pozbawione świec i dymu kadzideł, ścinały jej krew lodem. Nareszcie, kiedy Matka Boska, ubrana w koronki, zachwiała się, potem padła na wznak, w ramiona dwóch robotników, Joanna wydała słaby krzyk, wyciągnęła ręce, wyprężyła się i dostała ataku, który groził jej już od dni kilku.

Helena, szalejąc z bolu i przerażenia, uniosła ją nareszcie z pomocą księdza, do dorożki; wsiadłszy sama, obróciła się ku portykowi i wyciągając drżące ręce, zawołała:

— To ten kościół! to ten kościół! — powtarzała z gwałtownością, a żal i zgryzota, co szarpały teraz jej serce, za ten miesiąc nabożnej rozkoszy, której tutaj używała, głęboko brzmiały w jej głosie. (C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Beiruth — Konstantynopol.

Dnia 19. lutego, podczas nabożeństwa w kaplicy klasztornej w Jaffie, powstał szmer między pielgrzymami, na wiadomość, że statek kupiecki z banderą angielską zarzucił kotwicę; mąż mój natychmiast udał się do kapitana okrętu, który przybył sam do miasta, oświadczając, że zabierze towary i pasażerów, lecz tylko do Bejrutu. Prędko stanęła ugoda... gdyż gdziekolwiek bądź chcieliśmy się dostać, ażeby tylko wyrwać się z tej fatalnej Jaffy. Żądał 28 franków od osoby bez żywności, co zresztą nie stanowiło dla nas różnicy, bo zaambarkowawszy się o 4tej po obiedzie, rano o 7ej stanęliśmy w Beirucie.

Był to dzień, jeden ze spokojniejszych, zawsze jednak ze strachem przepływa łódka nieuniknioną cieśninę między skałami, i nie wiele tym razem brakowało, aby nas fale pochłonęły; inna łódź, powracająca do brzegu, nie mogąc oprzeć się pędzącym ją bałwanom, w najwęższem miejscu była zmuszoną minąć się z nami; Opatrzność czuwała nad nami, bo nieochybne rozbicie nastąpićby mogło za najlżejszem zetknięciem się obu łodzi. Zaledwie w godzinę, umęczeni gwałtownemi rzutami, i obryzgani pianą morską podpłynęliśmy pod sam statek, gdzie nowe rozpoczęły się trudności. Okręt miotany bezustannie falą, groził zagarnięciem łódki pod siebie: trzeba było korzystać z chwili, w której bałwany podnosiły łódkę do wysokości pokładu, aby na tenże wyskoczyć, przy jednym więc takim podrzuceniu, mąż mój dostał się na okręt, ja opadłam powtórnie, by w parę sekund z pomocą kilku wioślarzy wydobyć się także. Opowiadano, że łódź cesarza austryackiego, gdy się ambarkował w Jaffie, podniesiono na łańcuchach wraz z nim, bo nie było sposobu uchwycić drabinkę spuszczoną do statku.

Simiot, tak się nazywał nasz statek, nosi imię właściciela swego kupca; jest to prawdziwe cacko, błyszczące czystością i zalecające się rygorem i porządkiem. Duch ładu angielskiego na każdym kroku czuć się tu dawał, ale i egoizm albiański zdradził kapitana, który nawet filiżanki herbaty nie chciał swym gościom udzielić. Był on amatorem alkoholu, który go często w głęboki sen pogrążał, wtenczas zastępywał go w czynnościach vice-kapitan Teliu; nie mało też zdziwiliśmy się gdy przemówił do nas po polsku, wprawdzie bardzo zepsutym akcentem, ale zawsze miłym dla ucha naszego. Był on rodem z Poznania, a lat kilkanaście temu, zerwawszy związki rodzinne, uciekł do Ameryki; wyrobił się na zdolnego marynarza i dobił się zaszczytnego stopnia. Wyznał on nam poufnie, że się nazywa *Telewski*, ale dla uzyskania wyższego stanowiska i zaufania, musiał wyrzec się narodowości i udając Amerykanina, zmienił nazwisko na angielsko brzmiące *Telew*, to jest Telia.

Widząc szczupłe nasze zapasy gastronomiczne, polecił on nas i innych jeszcze czterech pasażerów I. klasy, kelnerowi, który za bakczisem dostarczył nam wszystkiego co do zaspokojenia apetytu potrzebnem było. Reszta pielgrzymów w klasztorze pozostających, chciała się dostać do Kaify, ztamtąd pieszo do Nazaretu, a ponieważ statek nasz nie zatrzymywał się, więc w Jaffie do nieograniczonego czasu pozostać musieli. Noc sprzyjała cudowna, brzegi Syryi po prawej ciągle były widzialne, nawet *fary* czyli latarnie morskie migotały w portach, a ciemny szafir nieba, drżał od miliona połyskujących gwiazdek. Siedząc na pokładzie, pootulani w pledy, do północy gawędziliśmy z Arabem, urzędnikiem Wysokiej Porty, mówiącym dosyć dobrze po francusku, który nam opowiadał tysiące czynów, malujących chciwość, nierzetelność i ospałość urzędników tureckich, a zarazem niezdolność rządu.

Najpierw, powtórzę tu, że sprawa narodowościowa — *principe des nationalitées*, żywo porusza wschodem, Arab, to nie Turek, wprawdzie jest on równie z Turkiem wyznawcą Koranu, ale gardzi nim, bo mowa arabska zupełnie odmienna od tureckiej, jest wykształconą; Arabowie byli istotnie spadkobiercami cywilizacyi starożytnej, i im zawdzięcza Europa w średnich wiekach zachowanie całej wiedzy na jaką się ludzkość zdobyła — oni to wynaleźli liczby nasze arabskie — dali początek chemii i wówczas gdy książęta germańscy odziani w niewyprawione skóry wilcze, w dymnych chatach mieszkali — oni budowali już *Alhambrę*, zakładali ogrody i przechowali estetykę życia! — Lecz później władcy ich, niezgodni między sobą, podpadli pod panowanie dzikich Osmanów — których nadto jako ciemiężycieli swych i niżej stojących w cywilizacyi, serdecznie nienawidzą.

W całej Turcyi w miejscu naszych podatków gruntowych, odbierają dziesięcinę z dochodu ziemi i bydła — zdaje się, że to podatek niewielki, bo wszak i my kiedyś płaciliśmy dziesięcinę bez uszczerbku wielkiego; ale inaczej rzecz się ma pod rządem tureckim: Pasza w każdym paszaliku wydzierżawia ów podatek przedsiębiorcom — najczęściej żydom, i istnieje prawo, nader surowe, zabraniające cośkolwiek ruszyć z łanu w jesieni przed ściągnięciem dziesięciny przez rząd. Zjeżdża więc taki przedsiębiorca do gminy na jednym krańcu powiatu położonej i żąda obliczonej dowolnie przez siebie dziesięciny często 50% całego dochodu brutto wynoszącej. — Gdy ugoda nie nastąpi, wyjeżdża przedsiębiorca, na drugi koniec paszaliku, obiecując, że za pół roku przyjedzie, do którego to czasu nic z pola ruszyć nie wolno. Potrzeby jednak ma każdy, słoty mogą plon zniszczyć, więc gmina godzi się nareszcie; przedsiębiorca, zabiera 40%, a licząc niby 10tą kozę, 10go konia i wołu, tak dubluje, tak umie kręcić i tumanić, że zamiast dziesiątą — 3cią lub 4tą sztukę i to najlepszą jako podatek zabiera. Apelacyi nie ma żadnej, bo za każdą skargę, Turcy więżą, uważając ją za bunt przeciw władzy. Wreszcie od najniższego do najwyższego urzędnika, wszyscy się nieprawnie wydartym groszem dzielą, i biednym poddanym tureckim nie pozostaje nic jak cierpieć i milczeć... Dla tego to też Europejczycy, którzy tu osiedlają się, zawsze wymawiają sobie jurysdykcyę swego konsula — a zniechęcone gminy arabskie, usuwają się co raz stanowczej od uprawy tej przecudnej i błogosławionej ziemi, przez co dobrobyt kraju upada, i coraz okropniejsze zapanowują stosunki.

Opowiadał nam dalej ów Arab sprawę jakiegoś Francuza, który wziął od rządu w antreprypę budowę koszar w Beirucie — Francuz uczciwy, dobrze i tanio budował, sądząc, że łaskę rządu sobie zaskarbi, i dalsze przedsiębiorstwo rządowe otrzyma. Gdy budowę ukończył, przedłożył rachunek baszy na 100,000 medżydżi (talar turecki). Basza ujrzawszy rachunek, rozgniewał się i kazał Francuza wyrzucić. Zmartwiony przedsiębiorca powraca do domu, a wkrótce zjawia się u niego żydek, który go pociesza i obiecuje rzecz naprawić — mówiąc, że basza dla tego się nań pogniewał, *bo rachunek jest za mały*.

Rachunek winien wynosić nie 100.000, lecz 600.000 talarów, bo 100.000 trzeba ofiarować żonom paszy w haremie, 100.000 weźmie doradca żydek, podwładni 200.000, tak że Francuzowi zawsze 200.000 zostanie. Przedsiębiorca usłuchał, pasza rachunek poprawiony z przyjemnością przyjął i podpisał, to znaczy, pieczęć tylko przycisnął (bo urzędnicy tureccy nigdy się nie podpisują, tylko pieczęcią podpis stwierdzają) i odtąd Francuz wiedział jak się w Turcyi buduje... Czasem wprawdzie zjawi się jakiś pasza prawy, chętny i pragnący kraj podnieść, lecz takiego niezawodnie usuną prędko. Takim był przed kilkoma laty pasza w Aleppo, który chciał Eufratem dogodną drogę wodną utworzyć, zamówił statki parowe, usunął różne przeszkody, i gdy miał przyjść do uskutecznienia jego planów, jakąś intrygą strącony został z urzędu i zamiast Eufratem, karawany pustynią, jak dawniej, tak dziś jeszcze podróż odbywać muszą... (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 6. września.

Nareszcie doczekaliśmy się czasów pewnego orzeźwienia atmosfery lwowskiej — i na ulicach już nie tak pusto. Przybyło trochę wojska na manewry jesienne, a ci w jasnoszaraczkowych mundurach odrazu zajęli Wały gubernatorskie w swoje posiadanie. Jeżeli w całej Europie romantyzm ustępuje pozytywizmowi, to w okolicy gmachów c. k. Namiestnictwa kwitnie on z całą młodzieńczą siłą, niepozwalając przecisnąć się przez zbite gromady romansujących mundurów żadnemu pozytywiście. Tu już powietrze samo przesiąknięte zapachem wojennego tytoniu, tchnie samą miłością, a różnojęzyczny gwar milej wpada do ucha nianiek i kucharek, niż najbardziej amorowy spiew słowika... Już to Lwów nie ma szczęścia do miejsc spacerowych: Hetmańskie

wały razem z woniejącą Pełtwią wzięła w arendę giełda, ogród Pojezuicki — dalszy ciąg giełdy, Pohulankę zanadto czuć browarem. Wały gubernatorskie okupuje armia, zostaje tylko Wysoki Zamek, gdzie jeszcze jakotako przejść można, byle nie w sobotę i zkąd przeciętny inteligent lwowski wraca do domu z całemi bokami i nie podeptaną nogą. Lecz Wysoki Zamek dla wielu bywa za wysokim i za dalekim, kończy się zatem spacer na wałęsaniu się luzem po ulicach, bez takiego zbornego punktu jak naprzykład ma Kraków w Ogrodzie Strzeleckim, gdzie elegancki świat może sobie swobodnie zajrzeć w oczy i z wszelką umiejętnością pokazać nowe suknie, zaobserwować miny, kontrolując dobry apetyt.

Wyjątek pod tym względem stanowił niedzielny tak zwany monstrualny koncert trzech muzyk wojskowych, który dość liczną i doborową sprowadził publiczność. Połączone orkiestry z całą precyzyą i powagą wykonały kilka sztuk wyższej wartości, jak Stabat Mater Rossiniego, i polonesa Moniuszki. Wieczór był ciepły, powietrze łagodne, nic więc dziwnego, że nastrój ducha publicznego ulegając chrapaniu trąb i hukowi bębnów przy jeneralnym capstrzyku z latarniami, mężniał stosując krok swój do c. k. taktu. Aż sam się dziwię przeczytawszy te kilka wierszy, zkąd mi się wziął ten styl bohaterski w rodzaju artykułów wstępnych „Wiener-Abend Posta...“ Wszak tylko przez kwandrans szedłem za jeneralnym tętnem wielkiego capstrzyku...

Inaczej jednak dnia tego postąpiła sobie orkiestra teatralna i z dyrekcyą i z panią Jakowicką... Urządziwszy formalnie socyalistyczny streik, grać nie chciała bez pewnych gwarancyi co do przyszłego swojego losu... Z tego powodu tak sama dyrekcya jak i pani Jakowicka i ci co kupili bilety, zostali nieprzyjemnie dotknięci w konserwatywnych uczuciach swoich. A gdzież tu teraz w te brzemienne socyalizmem i liberalizmem i nihilizmem czasy szukać taktu, jeżeli traci go sama protoplaścina wszelkich taktów, jaką powinna być orkiestra. Dyrekcya z powodu tego skandalu chciała zachorować — nie mogła, pani Jakowickiej proponowano aby zachorowała — nie chciała, i skończyło się na tem, że oddano pieniądze za bilety, a orkiestra może się znaleść w tem położeniu, że zostanie wytransportowaną za granicę krajów w Radzie państwa nie reprezentowanych... Jaka to szkoda, że jej nie można skonfiskować i zniszczyć od jednego zamachu ze wszystkiemi rzniętemi i dętemi attynencyami, jak naprzykład „Szczutka“ lub „Dziennika Polskiego“... Ten biedny „Dziennik“ to już ma takie szczęście, że co tylko podniesie głowę do góry, choćby z zamiarem otworzenia ust do samego pana prokuratora, zaraz go capną i cicho sza!

Szanowni czytelnicy i abonenci tego pisma, otrzyjcie zapłakane oczy wasze, wszystko to zmieni się na lepsze... „Dziennik“ w tych dniach, jak chodzą pogłoski, ze zmianą właściciela na właścicieli wejdzie na inne drogi; już utworzył sobie stronnictwo własne i kazał haftować chorągiew, którą niezadługo wywiesi, niewiadomo tylko czy nie obok drugiej, zależy to bowiem od układów, jakie Karateodory przeprowadzi z hr. Andrassym w kwestyi chorągwi bośniackich.

W tąż samą niedzielę, kiedy monstrualna orkiestra odbywała swój koncert na górze Wysokiego Zamku, poseł miasta Lwowa, p. Ludwik Wolski, wśród licznie zgromadzonej publiczności w sali ratusza miejskiego, objaśniał wyborców o dziejach polityki swej w Radzie państwa. Wyborcy tutejsi inaczej byli usposobieni od wyborców brzeżańskich i zaakceptowali głośno zachowanie się p. Wolskiego w stosunkach z Kołem polskiem w Wiedniu.

Tak tedy wszyscy rebelanccy posłowie wobec Koła polskiego albo już odbyli, albo odbędą konferencye z wyborcami — został tylko jeden hr. Gołuchowski zawieszony między niebem a ziemią, który czmychnąwszy z Wiednia jeszcze przed ukończeniem posiedzeń Rady państwa, odtąd jak czmycha tak czmycha...

Otwarcie Sejmu mamy zapowiedziane na 12. września, a to już dodaje otuchy, że Lwów poczciwy cokolwiek się rozrusza... Tymczasem i wędrowne ptaki nasze, wprawdzie z bardzo skromnem upierzeniem wracają z krajowych i zagranicznych wycieczek, a opalona młodzież szkolna uwija się po ulicach w towarzystwie poważnych mam i papów szukających dla niej lokacyi. Co krok spotkać się można z kolekcyą takich prowincyonałów prowadzących synów lub córki za rękę i kupujących książki w księgarniach, kiedy przed bramami domów w najlepsze idzie wyładowywanie bryczek i wozów... Przybycie młodzieży do szkół ma w sobie zawsze pewien urok: ta żywa ich rozmowa, serdeczne powitania, lakoniczne rady i swoboda malująca się w oczach—przypominają nam starszym te piękne lata młodości, w których tak samo było różowo w duszy, tak samo lekko na sercu, a w głowie tak samo pstro i hardo, jakby od naszej woli porządek świata zależał... Szczęść wam Boże kochana młodzieży, garnijcie się do nauki i pracy z zapałem i z tą świętą wiarą, że na waszych barkach spoczywa przyszłość narodu, daj Boże szczęśliwsza od naszej.

Z KRAINY DZIWÓW.

Anglicy są niestrudzonymi pionierami wiedzy. Z nieustraszoną odwagą i niezmąconym niczem spokojem, cechującym tak wyraźnie synów Albionu, przedzierają się przez góry lodowe mórz biegunowych i dziewicze lasy zwrotnikowe; pną się na wyżyny Kordylierów, lub poszukują sensacyjnych wrażeń wśród dzikich plemion Oceanii, pogardzając tysiącem niebezpieczeństw, na jakie w tego rodzaju wyprawach są narażeni.

Statystyka powiada im, że na dziesięciu wędrowców, jeden zaledwie powraca — reszta ginie na niegościnnych szlakach, pod mroźnym klimatem lodowisk, lub w rozpalonych od słońca piaskach pustyń, od żółtej febry, lub zatrutej strzały Indyanina. Pomimo to lekceważą sobie te relacye statystyczne, gotowi zawsze na ołtarzu wiedzy złożyć w ofierze życie.

Z trudów tych heroicznych bojowników pozyskujemy też corocznie bogaty plon wiadomości z najrozmaitszych gałęzi nauki, zachęcający nowy zastęp miłośników wiedzy do wypraw morskich po liść wawrzynu, lub... koronę męczeńską.

Do falangi ludzi, którzy zaszczytnie wywiązali się z przedsięwziętej w tym kierunku misyi, należą niezaprzeczenie Crowley i Richards. Ci w latach 1876 i 1877 w towarzystwie tylko dwudziestu śmiałych awanturników, przedarli się do samego serca Australii.

Owocem tych poszukiwań jest wydana świeżo broszura, pod skromnym tytułem: „Notatek z podróży,“ w której autorowie zebrali ciekawe, dotąd całkiem nieznane fakty z dziedziny: fauny, flory, meteorologii i etnografii, — skreślone stylem wielce obrazowym.

Ze względu na szczupłe ramy niniejszego artykułu, niepodobna mi zapoznać czytelnika z całością tej zajmującej pracy; ograniczę się zatem na jednym z ciekawszych urywków ich podróży, w krainie, którą można byłoby nazwać *ziemią dziwotworów* lub *niespodzianek*.

W lipcu roku ubiegłego, wędrowcy ci przedzierali się z niesłychanym trudem przez dziewiczy las w Australii, w którym krzyżowały się z sobą gałęzie przerozmaitych drzew, a między temi jedne pociągały uwagę turystów, wstęgami pasorzytnych cyanów, oplatających jak olbrzymie węże pnie eukalyptusów i rododendronów, inne połyskiwały liśćmi barwy mosiądzu i cynku, jak gdyby nieznany artysta powlekał je temi metalami.

W chwili gdy orszak jeźdźców, wydobywał się z gęstwiny leśnej, torując sobie drogę siekierami, koń Robärtsa, byłego majora armii indyjskiej, obtarł się o pień kolosalnego eukalyptusa. Długi kawał odłamanej kory spadł na grzbiet zwierzęcia.

Koń wspiął się, dał szczupaka, poczem skręcił, rzucił się w bok, i wreszcie pobiegł lotem strzały z grzywą najeżoną, wydając dzikie bolesne rżenie. Mniej biegły jeździec w jednej chwili byłby wysadzonym z siodła, ale Robärts był mistrzem kawalerzystów, ani się nawet zachwiał.

— Naprzód towarzysze! — zakomenderował — dzieje się tu coś niezwykłego.

— Przeciwnie, zatrzymajmy się — rzekł Richards.

— Co do mnie — odezwał się milczący dotąd Tom, towarzyszący wyprawie w charakterze cicerona — bierze mnie chętka wpakowania kuli w grzbiet temu szatańskiemu koniowi.

— Strzeżcie się panie, możecie zranić jeźdźca, jeżeli zwierzę padnie, major jest zgubionym, lepiej będzie, gdy go dopędzimy — zakomenderował Ali, najczystszej krwi australczyk.

Upłynęło piętnaście minut, w ciągu których towarzysze Robärtsa, pędzili jak szaleni, aby go doścignąć, co im się wreszcie udało Koń jego, wyczerpany wysiłkiem biegu, pokryty pianą, sapiący rozdętemi i krwią nabiegłemi nozdrzami, zataczał się, potem nagle runął na ziemię.

Stary oficer armii indyjskiej, w mgnieniu oka wysunął nogi ze strzemion, i stanął pochylony nad biednem zwierzęciem.

— Winszujemy ci majorze — rzekł Black — sądziliśmy, że już po tobie.

— W istocie, położenie moje nie było wcale godnem zazdrości, koń mój, jak sądzę, wściekł się.

W chwili gdy już dzicy zeskakiwali z koni, rumak Robärtsa zerwał się z ziemi, targnął gwałtownie uzdą, chcąc popędzić dalej, lecz powstrzymany żelazną ręką majora, osadzonym został w miejscu

Dostrzeżono wówczas, co było przyczyną jego szalonych skoków.

Boki i grzbiet rumaka obejmowała silnie jakaś materya chropowata, klejowata, barwy brunatnej obrzydliwa, a z pod niej sączyła się krew.

— Biedne zwierzę! — rzekł major z politowaniem. Indyanin Ali zbliżył się wtedy: wydobył z pochwy długi myśliwski nóż, rozkrajał w całej długości ową miękką, przylegającą do ciała zwierzęcia materyą korowatą. Była to olbrzymia pijawka; wnętrze jej przepełniała krew Po upływie kilku sekund organiczne dziwo odpadło, jak szmata mokrej bielizny.

Uspokojony niespodzianie rumak zwrócił pojętną głowę ku swemu wybawcy i zaczął lizać rany, z których krew obficie płynęła — a ran tych naliczono przeszło czterdzieści

Gdy Tom z Alim obmywali świeżą wodą rany, Richard i jego towarzysze zaczęli rozpatrywać się w tym potworze, który teraz pasował się ze śmiercią. Mógł mieć on 2 i pół stóp długości, 8 cali szerokości, a 4 cale grubości. Masa ta nie przedstawiała ani głowy, ani oczu i członków, zwężała się w obu końcach, przypominając powierzchownością, chropowatą korę eukalyptusa.

Richards przewrócił nogą to należące do świata organicznego dziwo. i ujrzał brzuch potworny, odrażający. Siedmdziesiąt pięć czy ośmdziesiąt otworów, podobnych do ssawek głowonoga, uszeregowanych w trzy linie, uwydatniały się śród tyluż torebek, przypominających żołądek pijawki — a wszystkie te otwory razem wzięte, tworzyły olbrzymi przyrząd ssący. Tom, dawny nauczyciel historyi naturalnej w Sidnej, objaśnił Richardsa, że to dziwaczne zwierzę, mieści się zwykle w szczelinach drzew opatrzonych bardzo grubą korą, i w takiem ukryciu czyha na zdobycz, o której obecności telegrafują mu długie, niesłychanie wrażliwe

Wąsy, będące jedynym organem dotyku, jakie to zwierzę posiada. Potwór żywi się słodkawym sokiem drzew młodych, i krwią zwierząt, którą wysysa. Pożera w ten sposób żaby, jaszczurki, węże, a jak się zdarzy i na pół nagich dzikich, których chwyta za twarz lub piersi z taką siłą, że tylko wtedy puszcza swą ofiarę, gdy jest śmiertelnie ugodzonym.

Po zaspokojeniu ciekawości i doznaniu tylu wzruszeń, wędrowcy postanowili tu spocząć. Mac-Crowley zapalił cygaro i położył się w cieniu olbrzymiego drzewa z zadowoleniem sybaryty.

— Ani jednego kawałka świeżego mięsa — rzekł z rezygnacyą — cóż zrobić, potrzeba przywyknąć do tego kraju, w którym nie masz nawet gołębia.

— Nie narzekaj kochany Crowley'u — przymówił Tom — mogę ci ofiarować na śniadanie prześliczną arę błękitną, przedziwnego smaku, z aromatem wytwornym, przypominającym...

— Ach! dość tych określeń — przerwał uczony z komiczną rozpaczą — jeść mi się chce wybornie.

— Poczekaj, patrz tam w górze o czterysta stóp nad nami, na gałęzi drzewa siedzi śliczna ara, dość mi poprosić Robärtsa, a za chwilę papuga będzie naszą zdobyczą.

I pobiegł do majora, używającego również spoczynku, z tą propozycyą. Robärts za całą odpowiedź wziął flintę, zmierzył do ptaka i strzelił. Z kilkunastu ar przestraszonych wystrzałem wszystkie wzbiły się w powietrze, jedna tylko śmiertelnie raniona, pozostała gibocząc się rozpaczliwie na wierzchołku drzewa. Nagle zabrakło jej punktu podpory, i spadła z rozpostartemi skrzydłami.

— Brawo! — zawołał Tom.

— No, będę miał wyśmienite pieczyste — dodał zadowolony Crowley.

Niestety, między łyżką a podniebieniem, między pieczystem a rożnem istnieje przestrzeń, zapełniona częstokroć przeszkodami.

Papuga spadając, nie dotknęła ziemi, gdyż w powietrznej drodze napotkała potężny liść, pięknej jasno-zielonej barwy — liść dwustopowej szerokości, gruby, mięsisty. W zetknięciu się ptaka z rośliną zaszło zjawisko iście czarodziejskie; listki jej (foliola) skurczyły się gwałtownie i uwięziły arę, która zniknęła w rozwartej gardzieli.

Wędrowcy wybuchnęli homerycznym śmiechem.

— Napisano w górze, że Crowley nie będzie miał pieczeni — odezwał się Tom.

— Wyrzekam się tego przysmaku, i proszę was panowie na moje poczciwe konserwy europejskie, salami i szynkę.

— Zatrzymajcie się z pięć minut, nie pożałujecie tego — a ty profesorze — dodał Tom, zwracając się do Crowley'a — nowym nabytkiem zbogacisz swą wiedzę przyrodniczą.

— Bądź co bądź, warto zbadać ten ptakożerny liść, przecież mnie nie zje — rzekł Crowley.

— Nie narażajcie się panie — błagał Cyryl, dawny sługa uczonego turysty — może was spotkać nieszczęście.

— Dzieciństwo — patrz mój stary przyjacielu, i nie lękaj się niczego.

I przy tych słowach Crowley wsunął zaciśniętą pięść w rozwartą pochwę liścia, który z innemi tworzył przepyszny kolosalny wachlarz, dochodzący wysokości człowieka.

Zjawisko zaobserwowane przy zeskamotowaniu ary, powtórzyło się teraz z najzupełniejszą dokładnością. Listki skurczyły się, objęły, wciągnęły rękę aż do ramienia, i zacisnęły się silnie.

— Ach! to zaczyna mnie bawić — rzekł Crowley, nie zmarszczywszy brwi — czuję ciśnienie jakby od ciasnej rękawiczki — bolu jednak nie doznaję żadnego. Nacisk powiększa się... Do dyabła! ręka mi drętwieje...

— Przestań panie — dość tego doświadczenia — błagał Cyryl.

— Cierpliwości przyjacielu, w imię pięknej nauki, zwanej fizyologią. Gdy będzie czas, powiem ci — a wtedy jednem cięciem kordelasa przetniesz łodygę tego przeklętego liścia, który zaczyna mi dokuczać.

— To dziwna — rzekł po chwili Crowley — uczuwam palenie jakby od synapizmów, ból wzmaga się, zdaje mi się, że tkwi w mem ciele milion igieł rozpalonych do czerwoności... Dość!... Tnij!...

Cyryl jednem cięciem odłączył łodygę ludożerczej rośliny od korzenia — w pół minuty potem liść rozwarł swą czeluść, i ukazała się ręka profesora obrzmiała, zsiniała, żyły w niej były wyprężone jak postronki. Z mikroskopijnych ranek sączyła się gdzieniegdzie krew koloru rudawego, co wskazywało obecność płynu rozkładowego, podobnego do soku *rosiczki* (*Drosera rotundifolia*) zbadanego przez Darwina, posiadającego własność asymilowania materyi zwierzęcych.

Wędrowcy rozpatrzyli się wówczas uważniej w tem drzewie. Wysokość jego nie przechodziła sześćdziesięciu stóp pol.; nie posiadało też ono łodygi w właściwem jej znaczeniu. Gałęzie, z których wychylały się olbrzymie kwiaty, wielkości kapusty, podobne do cechujących dalie piętrzyły się w korony współśrodkowe, tworząc w końcu bukiet majestatyczny. Liście tej dziworośliny były powykrawane na podobieństwo *Latania burbonica*, z tą różnicą, że grubością dorównywały aloesowym i opatrzone były maleńkiemi rurkowatemi włoskami. W otworze każdego takiego włoska, błyszczała kropla opalowa płynu podobnego do syropu.

— To drzewo Crowleyu, pożarło twą arę — rzekł Tom.

— Jestem tego pewien - zresztą rośliny mięsożerne były przedmiotem licznych studyów słynnego naszego przyrodnika Darwina, który rezultaty swych spostrzeżeń pomieścił w znakomitem dziele, zatytułowanem: „Insectivorons Plants“ (Rośliny owadożerne.)

Darwin badał głównie rosiczkę (*Drosera rotundifolia*) i wykrył nadzwyczajne jej własności. Na powierzchni jej liścia występuje 100—150 przysadków nitkowatych, a z każdego z nich wypływa kropelka płynu klejkowatego. Jak tylko owad dotknie nóżką jednej z takich kropli, w tejże chwili zostaje pochwyconym, poczem owe przesadki, którym Darwin nadaje nazwę „*macków*,“ kurczą się i owad zostaje uwięzionym. Po upływie dwóch godzin, liść otwiera się znowu, lecz już nie znajdujesz w nim ani śladu owadu, pożartego i strawionego przez roślinę. Sok przez nią wydzielony posiada własności *soku żołądkowego*, i z jego to pomocą Darwin otrzymywał sztuczne trawienie. Jak widzę — dodał Crowley — ta roślina australska posiada też same własności, lecz rozwinięte w stosunku kolosalnym. Wędrowcy słuchali z zajęciem wykładu profesora.

— Przekonanie Toma, że roślina powyższa pożarła arę, sprawdziło się najzupełniej. — Nazajutrz liść jej odzyskał swe pierwotne położenie, i wędrowcy tuż przy nim znaleźli skielet papugi, do którego przylegały jeszcze pióra.

— Osobliwszy to kraj — szeptał Robärts żegnając obozowisko — znajdujesz tu pijawki trzy stopy długości mające, które wysysają krew z dzielnego rumaka angielskiego — drzewa, które pochłaniają człowieka jak muchę — i liście pożerające ptaki wielkości kury! — Szatański kraj, wycedził przez zęby Cyryl, który nie mógł zapomnieć obrzmiałej ręki profesora, po odbytem doświadczeniu fizyologicznem.

BIBLIOGRAFIA FRANCUSKA.

— *Bentzon Th.* Un remords, 8° 345 pag. Paris 1878. 2.28

— *Burnaby Fred.* Une visite a Khiva. Aventures de voyage dans l'Asie centrale. Traduit de l'anglais par Hephel. Ouvrage enrichi de trois Cartes. 8° 464 pag. Paris 1878. 2.60.

— *Castellane comte de* Madgy. 8° 340 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Chandeneux Claire de.* Une fille Laide. 8° 305 pag. Paris 1878. 2.28

— *Daudet Alphonse.* Le Nabab. Moeurs parisiennes trante-huitieme edition avec une declaration de l'auteur. 8° 508 pag. Paris 1878. 2.28.

— *L' Estoile Pierre.* Scandal en province. Un mari 8° 368 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Gréville Henri.* Les epreuves de Raissa. 8° 351 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Hondin Robert.* Comment on devien corcier, secret de la prestidigitation, avec vignettes explicatives 8° 391 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Lamber Juliette.* Laide. 8° 311 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Molènes Paul Mme.* L'Orpheline. 8° 364 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Noriac Jules.* La comtesse de Bruges. 8° 371 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Osman-Bey.* Les femmes en Turque. 8° 361 pag. Paris 1878. 2.28.

— *O'Monroy R. Vicomte.* Monsieur Mars et Mme Venus 8° 343 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Rousseil Mademoiselle.* La fille d'une Proscrit. 8° 293 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Verne Jules.* Un capitaine de quinze ans premier partie. 8° 304 pag. Paris 1878. 1.95.

— *Vincent Jacques.* Jacques de trevannes 8° 285 pag. Paris 1878. 2.28.

— *Ulbach Louis.* Le comte orphée 8° 392 pag. Paris 1878. 2.28.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Ruch literacki* wychodzący od lat czterech we Lwowie, zawieszony został przez władze z powodu jak wieść chodzi przekroczenia programu, może władze uważały, że dwa pisma literackie na Galicyę to za dużo, gdyż bardzo trudno jest otrzymać pozwolenie na otworzenie nowej księgarni lub drukarni, może więc i liczba dzienników będzie ograniczoną. Za to karczmy we Lwowie i po za Lwowem wyrastają jak grzyby po deszczu.

*** *Dziennik polski* przeszedł na własność grona osób, między którymi wymieniają sympatyczne imiona Henryka Janki, Franciszka Zimy, Tadeusza Romanowicza, Adama Sapiehy. Naczelną redakcyę objął Tadeusz Romanowicz.

*** Wychodzi we Lwowie od niedawna pisemko *Praca*, której w żaden sposób ujrzeć nie mogliśmy, gdyż prokuratorya zabiera wszystkie egzemplarze zaraz z drukarni.

*** Wyszło już trzecie wydanie *Programu robotników* Lassala. Trzy wydania w ciągu jednego roku to zdaje się czy nie jedyny przykład w dziejach naszego wydawnictwa. O broszurze tej pisaliśmy zaraz po ukazaniu się pierwszego wydania. Wartość tej broszury cechuje skonfiskowanie jej w Prusach, gdzie barbarzyński rząd starannie prześladuje wszelki objaw liberalniejszy. Tegoż autora wyszły w polskim przekładzie: *Kapitał i praca* i *Pośrednie podatki*, których ocenę podamy wkrótce.

*** Księgarnia Polska przygotowuje nowe tanie wydanie wyczerpanych w handlu księgarskim tomików „Biblioteki Mrówki“: Woronicza, *Sybilla;* Goszczyńskiego, *Król Zamczyska*; Słowackiego, *Mindowe;* Syrokomli, *Wlas.*

*** Mecherzyńskiego *Przykłady i wzory* wyszły w nowej edycyi.

*** *Śpiewnika polskiego* tomiki 3 i 4 rychło wyjdą z pod prasy.

*** Wyszedł już z druku kalendarz *Fortuna*, któremu jeszcze przed wyjściem dzienniki dużo reklamy zrobiły, tymczasem nie jest on lichszym od innych lwowskich kalendarzy. Oryginalny pomysł wydawcy dołączenia *sennika* do kalendarza wskazuje jak głęboka jest u nas ciemnota, skoro taki koncepta popłacają.

*** *Pan Tadeusz* Mickiewicza wyszedł w taniem wydaniu. Kosztuje obecnie 1 złr. Największe to arcydzieło poetyczne powinno się teraz znaleść w rękach każdego umiejącego czytać.

*** Zbiorowe wydanie *Piosnek i gawęd humorystycznych* M. Rodocia wyjdzie wkrótce w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa.

*** Wkrótce wyjdzie z druku w tłumaczeniu polskiem 1sza część obszernego dzieła pt. „Schule des Locomotivführers“ (*Szkoła maszynisty*) przez Brosiusa i Kocha, w tłumaczeniu p. Ludwika Wojny, inspektora szkoły technicznej.

*** Z początkiem roku przyszłego zacznie wychodzić w Wiedniu śród młodzieży słowiańskiej, uczęszczającej do szkół wyższych w tem mieście „Almanach“, pismo treści naukowo-beletrystycznej. „Almanach“ ten zawierać będzie artykuły, pisane we wszystkich narzeczach słowiańskich, prócz polskiego, gdyż studenci Polacy odmówili udziału w tem przedsięwzięciu. Zadaniem „Almanachu“ będzie utworzenie wzajemnego zaznajomienia się z literaturą i zbliżenie w celu dostarczenia Słowianom pewnej możności za-

znajomienia się z historyą własnego kraju, obyczajami i td.

*** Dr. Benedykt Dybowski, znakomity zoolog, otrzymał zaproszenie na lekarza powiatowego w Petropawłowsku, a jednocześnie zaproponowano mu objęcie posady kustosza gabinetu zoologicznego w Krakowie.

*** Niedawno wyszła w Londynie książka p. n. „Serbia“ napisana i wydana przez kapitana angielskiego Gambiera. Jest to popularny i sumienny w ogólnych zarysach wykład przeszłego i teraźniejszego żywota Serbii. — Z pragmatyczną przędzą opowiadania łączą się tu oparte na bezpośrednich studyach nie pozbawione interesu uwagi o politycznym stanie tego narodu i wogóle wszystkich zostających pod hegemonią turecką Słowian.

*** „Nowoje Wremia“ donosi, że w tych dniach wydane być mają odpowiednie fundusze w celu odnowienia spalonego obserwatoryum astronomicznego w Wilnie. Pożyteczna ta i odwieczna w stolicy Gedymina instytucya będzie, jak się spodziewamy, nietylko doprowadzoną do dawnego stanu, ale i podniesioną możliwemi ulepszeniami.

*** Przebicie przesmyku Panamy w celu połączenia oceanów Atlantyckiego ze Spokojnym, środkiem Ameryki, do kilku lat może być faktem dokonanym. Rząd unii Kolumbijskiej już udzielił koncesyi na to olbrzymie przedsiębiorstwo międzynarodowej kompanii, na czele której stoi p. Łucyan Wyse, szef wypraw naukowych dla zbadania przesmyku Panamy w latach 1876—1878.

*** Józef Brandt, przebywający w Monachium, wykończył na zlecenie narodowej galeryi w Berlinie wielkich rozmiarów obraz.

„Obraz ten, jak donoszą dzienniki niemieckie, wystawiony jest na widok publiczny w Monachium i obok obrazu Makarta pt. „Wenus i Tannhaeuser“ ściąga na siebie uwagę całego artystycznego świata stolicy bawarskiej. Obraz Brandta ilustruje wielki napad Tatarów na ziemie Polski i Węgier 1624 r. Napad ów kończy się tem, że pobici przez Polaków nad Dniestrem zmasakrowani i rozproszeni, zostawili Tatarzy w rękach zwycięzców około 40,000 jeńców. Przed okiem naszem roztwiera się rozległe błotniste wybrzeże, pokryte po prawej stronie pagórkami. Dzika stepowa scena wybornie odpowiada charakterowi całości. Polacy wydobywający się pomiędzy pagórkami uderzają na Tatarów z błyskawiczną szybkością. Na przodzie wielka masa zabranych w jassyr kobiet różnych stanów padła na kolana i oczekuje oswobodzicieli, wzruszona obawą i radością. Po stronie lewej, nad brzegiem rzeki śród bagien walczą Polacy. Tatarzy usiłują uprowadzić przynajmniej piękne branki. Z tego wywiązuje się piękny epizod, przynoszący zaszczyt Brandtowi. Po prawej stronie spostrzegamy inne masy wziętych w niewolę z kapłanem na czele, błagającym stwórcę o zwycięstwo dla Polaków. Całość sprawia wrażenie dzikiego zgiełku, pełnego malowniczej atmosfery i niezwykłej potęgi — energia rozlana wszędzie a mistrzostwo wykonania porywa wyobraźnię widzów. Horda uciekająca zdaje się wyrywać z obrazu. Kobiece postacie pełne ruchu i niezrównanej pomysłowości. W obrazie spostrzegamy niezwykłe bogactwo postaci wszelkiego rodzaju, zajmujących po szczególe i składających się wogóle na znakomitą całość. Mimo znacznej rozmaitości barw i przewagi tonów ciemnych, całość odznacza się niezwykłą harmonią i ładem. Obraz ten uważany jako najświetniejsze dzieło znakomitego malarza.

*** Krytyk francuski Wiktor Cherbulier tak pisze o obrazie Brandta w ostatnim zeszycie „Revue des deux mondes:“

„Jasnym punktem, klejnotem, pieścidełkiem malarstwa niemieckiego(?) — jest obraz Józefa Brandta pod nazwą: „Kozacy ukraińscy w XVII stuleciu“. Pan Brandt, rodem Polak (!), kształcił się w Monachium, lecz talent jego ma raczej charakter słowiański (!), niż niemiecki (!). Oddział kozaków uzbrojonych długiemi lancami, w czapkach skórzanych, dąży gdzieś na bitwę galopem, na małych koniach. Poprzedzają go muzykanci, grając na instrumentach ukraińskich, których dźwięki, zarówno jak i nadzieja zdobyczy napełniają zachwytem kozaków; rzec można, iż serca im skaczą z rozkoszy. Jedni wstrząsają czapkami włożonemi na ostrza lanc, inni je ciskają w górę, a zdaje się, że i konie biorą udział w tej ogólnej radości, tak raźnie przebierają nogami, tańczą, podskakują i stroją harce. Jeden tylko hetman na czele orszaku zachowuje powagę; obmyśla on plan bitwy. Kalwakada ta rozwija się bez końca na szerokim stepie, pod niebem szarem i mglistem.

*** P. Maurycy Orgelbrand, znany księgarz i wydawca, obchodził w dniu 28. sierpnia 25-letni jubileusz swego samodzielnego zawodu księgarskiego. Dnia 28. sierpnia 1853 r. założona została w Wilnie księgarnia pod własną jego firmą. Od lat kilkunastu przeniósł się do Warszawy. Najpożyteczniejszem jego wydawnictwem jest „Słownik języka polskiego“. Pan Maurycy Orgelbrand jest synowcem Samuela, wydawcy „Encyklopedi powszechnej“ w 28 tomach, którego synowie Hipolit i Mieczysław prowadzą w Warszawie drukarnię i także przez jakiś czas byli dość czynni na polu wydawniczem. (Encyklopedya powszechna mniejsza w 12 tomach).

*** Znany ekonomista i przyjaciel ludu Schulze z Delitsch, który wkrótce ma obchodzić 70 letnią rocznicę swych urodzin, ciężko zachorował w Eisenach.

*** Teodor Döring, znakomity artysta berliński zmarł 19 b. m. w Berlinie. Urodzony 3 stycznia 1803 r. w Warszawie, poświęcił się początkowo kupiectwu, ale wkrótce zawód ten porzucił, i wystąpił po raz pierwszy w Bydgoszczy, później grał tu i owdzie, aż w 1826 r. dostał się do Wrocławia, gdzie talent jego znacznie się rozwinął. W r. 1845 wystąpił w Berlinie jako Franciszek Moor. Grał on zarówno tragiczne jak komiczne role. Do najznakomitszych ról jego należą: Mefisto, Natan i Falstaf. Döring odznaczał się szczególnie znakomitą charakteryzacyą.

ROZMAITOŚCI

*** Małżonkowie pokłócili się i poszli na sprawę do sądu gminnego.

Żona oskarżała męża, że ją bije; mąż żonę, że mu złe jadło daje.

Kto winien?...

Oto węzeł gordyjski do rozwiązania.

— Powiedźcie no — rzekł sędzia, zwracając się do kobiety — za cóż was mąż bije?

— A dyć, proszę prześwietnego sądu, ja go tam czasem tak niechcący pogłaszczę po twarzy, to on się zaraz gniewa i do kija.

— Dobrze ona mnie głaszcze, tak, że czasem pokrwawi; nie dość, że człeka głodem morzy, jeszcze się *wydziwia* nad nim.

— Jak to, głodem was morzy?

— A tak!... Zjem miskę kartofli; proszę o drugie a ona na to: „Toś ty głodny nieboraku“ — i znów głaszcze mnie po swojemu. A ja bronić się muszę, ja też łapię kij i po karku babę... Dopiero, gdy porządnie ją wygrzmocę, daje mi drugą miskę kartofli. Albo.. ja jej gadam: „Kaśka, czemu nie krasisz dobrze kaszy, przecieżem ja nie biedak jaki, żebym jadł suchą kaszę. A ona krzyczy: „Zaraz ja ci okraszę“ — i bęc mnie po pysku...

— Dlaczego tak robicie? — zapytał sędzia żony.

— E! ja go tam nie biję, tylko tak lekkie napomnienie daję, a że krew czasem poleci, to już nie moja w tem wina; ale za rękę bić kijem, to się nie godzi.

— No, Macieju — rzekł sędzia — pamiętajcie, żebyście jej kijem nie bili, za rękę ręką odpłacajcie.

Maciej przystał; Maciejowa odeszła zadowolona z sądu.

W kilka dni potem wraca znowu do sędziego szanowna połowica z napuchniętą twarzą i powiada:

— Już niech tam pan sędzia przykaże mojemu, aby mnie kijem bił, wolę ja już, niż jego łapę...

*** Czy wykradzenie panny jest... kradzieżą?...

W okolicy niezbyt odległej od Warszawy mieszka ubogi duchem szlachcic zagonowy, posiadacz sporego kawałka ziemi i... nadobnej córeczki.

Człowiek ten ma dziwne pojęcie o stosunku swym do córki; uważa on ją za pewnego rodzaju inwentarz, przynoszący dochód, na równi z krowami, końmi itp istotami roboczemi...

Dzieweczka owa musiała to paść bydełko, to krzątać się w polu przy żniwach, to znowu w domu zajmować się gospodarstwem.

Musimy zanotować, że szlachcic nasz jest wdowcem.

W nadobnej pasterce zakochał się przyzwoity bardzo młodzieniec.

Ale okrutny ojciec nie chciał pozbyć się najważniejszej sztuki inwentarza, która mu bardzo dobrze procentowała.

Kochankowie byli w rozpaczy... Wreszcie wpadli na myśl wyborną. Kochanek postanowił wykraść swą bogdankę i wyrwać takim sposobem ze szpon okrutnego ojca...

Tak chwalebny zamiar został niebawem uskuteczniony; młoda para połączyła się związkiem małżeńskim.

Cóż zrobił ojciec?

Myślicie może, że wezwał młodzieńca na pojedynek, zastrzelił, zamordował?

Broń Boże! Tak okrutne zamiary nie powstały mu w głowie. Wziął z najzimniejszą krwią arkusz papieru i pióro, następnie usiadł przy stole i napisał skargę do sądu gminnego, w której oskarża młodzieńca o... kradzież... Oprocz ukarania za przestępstwo, żąda też wynagrodzenia szkód i strat, wylicza mianowicie szczegółowo ile mu córka przynosiła dochodu i stosownie do tego oznacza jej wartość brzęczącą monetą kurs w kraju mającą...

Cóż sąd gminny zrobił z taką skargą?

Oto, o niesprawiedliwości, zwrócił ją oskarzycielowi, twierdząc, że nie ma istoty przestępstwa.

Więc wykradzenie panny nie jest... kradzieżą?...

*** W Kijowie, jak donosi korespondent gazety „Sowremiennyja Izwiestya“, wystąpiła na widownią publiczną osobistość, którą możnaby posądzać o żądzę zyskania sławy Herostrata, chociaż właściwie szło jej nie tyle o rozgłos, ile o inne, uboczne korzyści.

Do policmajstra przybył pewien żyd i oświadczył, że on jest sprawcą głośnego zabójstwa pułkownika żandarmów Heikinda. Policmaister dał znać niezwłocznie prokuratorowi sądu okręgowego i oficerowi żandarmskiemu.

Gdy wieść o schwytaniu zbrodniarza rozeszła się po mieście, gubernator ujrzeć był ciekawy interesującego zabójcę. Był więc obecnym przy badaniu. Lecz, rzecz szczególniejsza: żydek twierdząc stanowczo, że jest sprawcą zbrodni, uporczywie odmawiał zeznania bliższych szczegółów faktu. Po kilku badaniach, wszyscy przyszli do przekonania, że mniemany zabójca jest... samozwańcem.

Obecnie wypuszczono go już na wolność.

Korespondent podaje ciekawe bardzo motywa, jakie skłonić miały żydka do podobnego kroku.

Chciał on już pierwej przejść na wiarę prawosławną; lecz duchowieństwo stawiło mu w tym względzie silny upór; gdyż widocznem było, że pragnie zmienić religię nie z przekonania, lecz dla ubocznych celów. Nie mając bowiem środków utrzymania, przebiegły izraelita postanowił jakimkolwiek sposobem zwrócić na siebie uwagę ogółu, ażeby tym sposobem ułatwić sobie drogę do zmiany wiary, a pośrednio do zysków materyalnych.

Podobne objaśnienia uważamy za zbyt naciągane. Prędzej już zgodzimy się na zdanie „Ruskiego Mira“, który twierdzi, że żydek, trapiony głodem, chciał po prostu dostać bezpłatny lokal, wikt i odzież.

*** *Niewola w Egipcie.* Podług listu pisanego z Aleksandryi do „Allgemeine Zeitung“ okręt ottomański handlujący niewolnikami został schwytany przez okręt angielski, a znajdujących się tam 70 kobiet i 10 mężczyzn wypuszczono natychmiast na wolność. Mężczyźni zaciągnęli się jako ochotnicy do armii egipskiej, ale trudniej było z kobietami. Nie miały one najmniejszego wyobrażenia o wolności i było bardzo prawdopodobnem, że pozostawione same sobie dadzą się zamknąć do haremu jakiej bogatej osobistości. Na mocy układu zawartego pomiędzy rządem angielskim a Kediwem Egiptu przywóz i wywóz niewolników w tym kraju jest zakazany, ale utrzymywanie ich i handel jest dozwolony jeszcze na 6 lat w Egipcie, a 9 w Sudanie. Kilku oficerów, chcąc zakupić pewną liczbę kobiet, udało się do paszy, ale ten oświadczył, że nie pozwoli żadnej pojechać zanim będzie zaślubiona. Ogłosił przytem, że każdy kto zechce wziąć za żonę jedną z kobiet ma zapłacić 6 talarów posagowego, oraz że kobiety same sobie wybiorą mężów. W dniu oznaczonym zebrała się znaczna liczba kandydatów, najwięcej żołnierzy. Ale kobiety były tak nieśmiałe, że przyciskały się jedna do drugiej jak stado owiec i nie można było skłonić je do odezwania się. Nareszcie jedna z nich uzbro-

iwszy się w odwagę, zbliżyła się powoli do brzydkiego i nie młodego już sierżanta i położyła rękę na jego ramieniu, co miało znaczyć, że tego właśnie wybiera sobie na męża. Za jej przykładem rzuciły się wszystkie z pośpiechem, tak jak gdyby obawiały się że dla nich mężów zabraknie. Mężczyźni byli zadowoleni z wyjątkiem pięciu, kobiety, które wybrały tych niewdzięczników musiały przystąpić do nowego wyboru aż nareszcie w końcu wszystkie dostały mężów.

*** W Deerfort-Park w Stanach Zjednoczonych p. F. Carwer sławny strzelec sztucerowy, dał dowód nadzwyczajnej siły. Założył się on, że trafi w 500 minutach w lot 5500 kulek szklannych napełnionych pierzem, które będą mu rzucone w powietrze.

P. Carwer wygrał ale z wielkim trudem. Po kilku godzinach ręce jego zmęczone i zbolałe bezustannem trzymaniem ciężkiego karabinu i celowaniem, drżały i nie mogły prawie utrzymać broni. Pomimo wszelkich ostrożności proch osiadał na panewce, a zapalając się parzył w oczy, co sprawiało, że p. Carwer cierpiał okropnie.

Pomimo to zakład rozpoczęty o 11tej rano, skończył się o 7mej minut 10 t. j. trwał 10 minut mniej. Dla pewności, p. Carwer rozbił 6 kulek więcej niż było ułożone.

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.

II.

HR. ANDRASSY.

(Z francuskiego).

Gdybym uczuwał w sobie najmniejszą skłonność do „choroby uwielbienia“, o której mówi Macaulay, że napada każdego kto tylko studyuje życie ludzi wybitniejszych, najlepiejbym uczynił, otaczając młodość hr. Andrassy'ego najgłębszem milczeniem. Zwyczajem jest, upatrywanie w młodości ludzi mających rozgłos (później, gdy już się staną głośnymi) pewnych oznak, zapowiadających umysł, do wielkich przeznaczony rzeczy. Niepodobna mi jest zataić, że w obecnym wypadku, poszukiwania do niczego by nie doprowadziły. Prawda obowiązuje mnie nawet do powiedzenia, że przyszły kanclerz austro-węgierski, był jednym z najmierniejszych uczniów, jacy kiedykolwiek zasiadali na ławkach węgierskich kollegiów. Dawni jego koledzy, porównywają go do młodego Child-Herolda, „który nie widział uroku na drogach cnoty“ i utrzymują, że potrzeba było całego blasku nazwiska Andrassy, ażeby profesorowie pozwalali na obcowanie innych uczniów z chłopcem, tak mało mającym szacunku dla greckiej i łacińskiej gramatyki.

Zdaje się wszakże, że po opuszczeniu szkół, szlachetny hrabia musiał się oddawać poważnym studyom, skoro podczas wielkiego ruchu 1848 r. w 24 roku życia, był już znakomitą osobistością.

Rewolucya węgierska 1848 r. ma ten rys charakterystyczny, że nie była dziełem pewnej tylko partyi lub koteryi. Było to powstanie całego narodu, który chciał wolności i walczył o nią nie z po za barykad, lecz w otwartem polu. Szlachta i włościanie, księża katoliccy i protestantcy, walczyli za wspólną sprawę. Przewrót dokonał się bez wybryków, któreby mogły skompromitować sprawę wolności. Wśród tak wielkiego zamięszania, przy wolności prasy bez granic, nie odezwał się ani jeden głos przeciw własności. To była rewolucya konserwatywna.

Hr. Andrassy walczył czas pewien w szeregach armii węgierskiej. Przywiodę tylko jeden epizod wojskowej jego karyery. Oddział gwardyi narodowej, bardzo słabo wyćwiczonej, wyruszył na oswobodzenie Wiednia. Doznał on pod Schwechat porażki dotkliwej, prawie śmiesznej. Za pierwszym armatnim strzałem, cała „armia“ rzuciła się na brzuch, oprócz kilku ludzi. Pomiędzy tymi kilkoma był hr. Andrassy, który nie zsiadał z konia podczas całej tej bitwy, aż popłoch powszechny uniósł go z sobą. Wtedy opuścił szeregi armii, i w maju 1849 r. Kossuth mianował go posłem nadzwyczajnym do Turcyi, nie łudząc się bynajmniej co do znaczenia tej misyi. Sam tylko młody dyplomata wziął swe poselstwo na seryo. Przed wyjazdem udał się po instrukcye do Artura Görgey'a, głównodowodzącego podówczas siłami rewolucyi węgierskiej, oblęgającego Budę. Młody hr. Andrassy, mianowany przez Kossutha w przewidywaniu przyszłych powodzeń dyplomatycznych pułkownikiem *in partibus*, kazał sobie zrobić mundur haftowany na wszystkich szwach. Görgey, który się ubierał zawsze bardzo skromnie, prawie nędznie, wpadł na widok tych złoceń w wesołość, której nawet nie ukrywał, i gdy hr. Andrassy objaśnił mu cel swego przybycia, odrzekł:

„Bo to widzisz, mój drogi przyjacielu, najlepiej by było, gdybym ja bił Austryaków, Kossuth się z nimi układał, a ty gdybyś sobie pozostał w domu“.

Görgey widział jasno jeżeli nie co do wszystkiego, to przynajmniej co do owej misyi tureckiej. Lecz nie jest że to szczególnem, że autor sławniej *Noty Andrassy'ego* rozpoczął zawód dyplomatyczny od poselstwa, w którem szło o skłonienie Porty do połączenia się z Węgrami przeciw Rossyi? Po upadku powstania węgierskiego, nastąpił powrót rządów, które nie mają sobie podobnych w historyi. Przypuśćcie, że po bitwie pod Watereloo, przywrócono we Francyi rząd dawny z wszelkiemi nadużyciami, dziesięciną, pańszczyzną i tp., a będziecie mieli słaby obraz tego, co się działo na Węgrzech po rewolucyi 1848 r.

II.

Po wielu usiłowaniach, hrabia Andrassy otrzymał w 1860 r. pozwolenie powrotu do Węgier. Absolutyzm austryacki panował tu jeszcze nominalnie, prawdziwym jednak panem kraju był wówczas Franciszek Deak.

Nadzwyczajny wpływ, jaki Deak wywierał na swych współrodaków, pochodził ztąd, że zalety charakteru tego człowieka były większe od zalet jego ściśle umysłowych, gdy zwykle u Węgrów dzieje się przeciwnie. Węgier przechodzi z nadzwyczajną łatwością od zapału do melancholicznej rezygnacyi, od odwagi do upadku ducha. Franciszek Deak odznaczał się szczególniej zimną krwią i czynnością. Hr. Andrassy oddał się cały Deakowi, a Deak był pierwszym, który w nim odgadł przyszłego męża stanu Węgier.

Nigdy liga dwóch ludzi nie była tak brzemienną w następstwa, nigdy nie było dwóch charakterów tak różnych. Przypuśćcie, że jakim cudem, magnat z czasów Ludwika XIV „najszlachetniejszy“ dworak, znalazł się nagle w gabinecie Cromvella; że przy pomocy drugiego cudu, porozumieli się z sobą, i że nakoniec, trzecim cudem większym jeszcze od poprzednich, zgoda tych ludzi nigdy się nie zachwiała, cała ta historya byłaby mniej zadziwiającą, od ugody i jej następstw, między Franciszkiem Deakiem i hr. Andrassym.

W tym kraju węgierskim, gdzie dar wymowy jest tak powszechnym, mało jest mowców tak porywających, poprawnych i wykwintnych jak hr. Andrassy; nie ma ani jednego, któryby mówił z taką mocą. Jego mowy iskrzą się błędami, zlewają się jednak w harmonijną całość. Czy hr. Andrassy był whigiem? Nie — bo nikt bardziej od niego nie powoływał się na powagę rządu. Czy był torysem? Nie—bo zerwał z partyą arystokratyczną i opierał się na stanie średnim. Można go było zaliczać do najgoręższych Magyarów, pomimo to gotów był porozumieć się ze Słowianami. Był przychylnym Rumunii i Serbii szczególniej z powodu osobistej przyjaźni z księciem Michałem Obrenowiczem. Ci dwaj ludzie zaprzyjaźnili się w Paryżu, podczas wygnania hrabiego, nie marząc zapewne, że jeden z nich przeznaczonym był królować Serbom, a drugi prezydować rządom wskrzeszonych Węgier.

W ogóle hr. Andrassy nigdy nie miał systematu, dawał się kierować wypadkom, a jego *na chybił trafił*, które zdumiewały świat a przedewszystkiem jego samego, nieraz mu się udawały.

Gdy szło o wynalezienie sposobu traktowania wspólnych spraw Austryi i Węgier, zadanie zdawało się być nie do rozwiązania. Było jasnem, że obradowanie oddzielne jest niepodobne; lecz Węgry nie chciały parlamentu wspólnego, a Austrya nie zadawała sobie trudu szukać wyjścia. Wtedy to hr. Andrassy wynalazł owo istniejące dotąd *modus vivendi*, polegające na traktowaniu spraw wspólnych przez delegacye oddzielnych parlamentów. Gdy ten plan skomplikowany zakomunikował przyjacielowi swemu bar. Eötvös, tenże zawołał: „Nie ma najmniejszej wątpliwości! mój biedny przyjaciel Juliusz, zwaryował!“ Juliusz nie zwaryował, i dwie owe delegacye funkcyonują dotychczas.

Sprawy wojskowe, polityka zagraniczna, reforma uniwersytetów, koleje żelazne, organizacya sądownictwa, wszystko to nowy prezes ministrów garnął do siebie i podołać zdołał wszystkiemu. Prawda, że sposób załatwiania spraw, miał szczególny. Wskazywał myśl, a swoim współpracownikom polecał jej opracowanie. Biada tym, którzy jej natychmiast nie zrozumieli, a do zrozumienia potrzeba było prawie geniuszu.

Pewnego dnia, hr. Andrassy prosił jednego ze swych kolegów, Horvath'a, ministra sprawiedliwości, który uchodził za najlepsze pióro w gabinecie, ażeby mu zredagował projekt reskryptu na otwarcie sejmu kroackiego. Hrabia miał jechać na drugi dzień do Wiednia i chciał przedstawić reskrypt cesarzowi.

Horvath przybył z brulionem na oznaczoną godzinę.

— To nie to — rzekł hrabia — to nie jest to, czego chciałem.

— A czegożeś ty chciał?

— Jak to? nie powiedziałem ci?

— Ani jednego słowa.

— Ależ ja koniecznie potrzebuję reskryptu.

— Czy chcesz ażeby był bardziej stanowczy.

— Ja tego nie mówię.

— Bardziej serdeczny?

— Dajże pokój.

— Bardziej pochlebiający?

— Ależ nie.

— A więc jakiegoż ty chcesz?

— Napisz inny; idź do przyległego pokoju i pisz.

Po dwóch godzinach, Horwath powraca z innym projektem. Hrabia wpada w desperacyą. Znowu nie to, czego chciał.

— Każ sobie zawołać którego z twoich urzędników, może on zgadnie czego ty chcesz.

— Nie, on jeszcze mniej zrozumie.

— Ja lepiej nie potrafię — zawołał Horvath, dotknięty w miłości własnej autora.

— Ja jadę za godzinę! ja potrzebuję reskryptu!

I nie czekając na odpowiedź, hrabia Andrassy popycha biednego ministra do drugiego pokoju, zamyka go na klucz i mówi przezedrzwi:

— Pisz! ale się spiesz.

Ofiara siada, pisze co mu tylko do głowy przychodzi, i w pół godziny wychodzi z pokoju w kwaśnym humorze z projektem, który mu się nieznośnym wydaje.

Hrabia rzucił okiem na papier i radość zajaśniała mu na twarzy.

— To właśnie, to właśnie jest to, czego chciałem.

O mało, że nie uściskał Horvath'a. Sam umiał tak zręcznie odgadywać, że niezmiernie się dziwił, gdy ktomyśli jego w lot nie pochwycił.

Przy takim naczelniku gabinetu, sprawy publiczne pędziły pociągiem pospiesznym, i w kilka lat wynagrodzono opóźnienie kilku wieków. Następnie nadszedł r. 1870.

(C. d. n.)

SPROSTOWANIE.

Zwracamy uwagę Redakcyi *Gazety Narodowej*, która podaje, że pp. A. Tyszkiewicz, O. Tyszkiewicz, A. Jelowicki itd. przyjechali do Lwowa z Moskwy, iż żaden z tych panów z Moskwy nie przyjechał. Przyjechali oni z Litwy lub z Ukrainy, a Moskwa jest stolicą caratu moskiewskiego, zkąd Polacy do Lwowa nie przyjeżdżają

Treść Nr. 54. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki